

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 17 marca 1946 r.

Nr 10 (38)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Chłopska szlachetczyzna

(z powodu „Poematu Nowosieleckiego” Józefa Ozgi-Michalskiego)*

Z góry zapowiadam, że „Poemat Nowosielecki” będzie tu niezobowiązującym punktem wyjścia do zagadnienia pozaliterackiego.

Ale dlatego właśnie zaczniemy od „Poematu”. W manifestacji nowosieleckiej uczestniczył Ozga jako 17 letni wiciarz, w cztery lata potem pisze Poemat. Obie te daty zaciążyły na treści utworu. Pierwsza — to urok 200-tu tysięcznej masy chłopskiej, oglądanej oczami chłopca. Druga — to pierwsze lata okupacji, podczas której życie osiemnastu milionowej warstwy chłopskiej skurczyło się do kryjomych narań w kilka osób, do tajemnych wieców i zbiorów w lesie.

Jak się te daty odbiły na „Poemacie”? W zamierzeniu miał to być *poetycki paszkwil polityczny* na obóz sanacyjny, ściśle — na ziemiańskie rządy. Przyczem: siła argumentacyjna miała się wyrazić nie tyle w krytyce rządzącego, ziemiaństwa, ile w potędze i rozmachu zebranego chłopstwa. Tą masą, ożywioną i huczącą groźnie chciał poeta osmieszyć marszałkowanie rydów ziemiańskich.

Ale krytycznemu czytelnikowi metoda wydać się musi nie dość wyraźna i przekonywująca, nawet — niepokojąca.

W tak prosty bowiem rzut koncepcji poematu wtargnęły komplikujące go cienie, jakie, raczej nieświadomie, rzuca poeta na Ruch Ludowy. W tych cieniach jawią się fragmenty jakiejś ogólniejszej a nierozwiniętej prawdy historycznej o charakterze i kierunku Ruchu Ludowego do czasów drugiej wojny.

„200 tysięcy” huczy wprawdzie, ale słucha swoich Piastów z usposobienia, którzy idą do Rydza w „swaty” — „żeby koniec już był starym zgrzytom”.

„I przysłyszmy byćście raczyli wziąć udział w kompanii”.

200 tysięcy żąda „ale tylko — dawno już wypisane od lat hasło stare: „Żądamy na czele z Witosem powrotu więźniów Brzeskich”.

W tej największej manifestacji, jaka zamyka Ruch Ludowy w jego 40-letnich dziejach, wyraża się niepokojąca skromność żądań.

Przekładając wiersz na język prozy znałoby to tyle:

„Nie krzywdźcie nas panowie ponad miarę. Tylko przeciw wyzywającym okrucieństwom występujemy, resztę wytrzymamy. Upominamy się o swoje i to od wypadku do wypadku. A jesteście, jak byliśmy.”

Kiedy dodać jeszcze plastykę tego wiersza, który przypomina pole elekcyjne, kiedy to masa szlachecka ontacona, zaagitowana i upita wybierała królów, a w ich osobach przyszły kierunek rządów — trudno oprzeć się dwu myślom:

pierwszej, że poeta utrudnił sobie przeciwstawienie warstwy chłopskiej klasie ziemiańskiej i z takim krytycznym obciążeniem trudno podzielać jego wiarę w rozmach i siłę masy chłopskiej —

drugiej — że gdyby poeta świadomie i konsekwentnie przeprowadził krytykę Ruchu Ludowego w manifestacji Nowosieleckiej wówczas jego inwektywa polityczna zyskałaby wyraźną, a szerszą perspektywę. Pomieściłaby się w niej i odchodzące ziemiaństwo i dotychczasowy Ruch Ludowy. Oba te środowiska dałoby się z pewnego punktu widzenia zamknąć w strukturze szlachetczyzny.

„Tymczasem w poemacie jest o tyle inaczej, że poeta szlachetczyźnie przeciwstawia elementarną siłę masy chłopskiej. Jest nią upojony poetycko i „chłopięco” (przechowanym wstrząsającym wrażeniem z 17 roku życia), a w praktyce działaczem społecznego upewnionego doświadczeniem

konspiracyjnym, kiedy to sprawa narodu i warstwy chłopskiej robiona była na chłopskiej ławie lub w lesie.

My byśmy natomiast byli skłonni w tym, co dla poety jest naturalnym argumentem „za”, widzieć argument „przeciw”.

Bo poemat na ile jest wiernym obrazem Nowosielec na tyle dostarcza materiału do krytycznej raczej oceny Ruchu Ludowego, nie zaś do hurra klasowego samoubóstwienia.

SZLACHECKIE: „KUPĄ PANOWIE”
I CHŁOPSKIE: „ŁAWA”

Spróbujmy dać komentarz, z jakim — zdaniem naszym, — należałoby czytać „Poemat Nowosielecki”.

W manifestacji nowosieleckiej zarysowują się pewne zbieżności pomiędzy szlachecką tradycją życia społecznego a tradycją ruchu ludowego.

Tę zbieżność chcemy uwypuklić. Niech nam tedy czytelnik daruje, że posłużymy się metodą wyjaskrawienia plastycznego tego, co w umiarkowanym toku wymagałoby naukowej, porządnie długiej rozprawy.

Na pytanie: jaka była szlachecka struktura organizacji społecznej, możnaby, ze względu na nasz problem, odpowiedzieć krótko: „kupą panowie”!

W wojnach na miejsce planów, organizacji, budżetu „kupą panowie” z pośpolitego ruszenia! W wyborze króla? — wiritim ściągniętych z pobliskiego Mazowsza, Maćków kupionych albo Maćków, co to „kochajmy się”. W uchwałach sejmów dość, że jeden „krzyknął veto i uciekł na Pragę”, aby stało się prawo kupy a nie rozsądnych. Ze nadto i zajazdem stała Polska, kuligiem i ucztą panów braci, była przeto dziełem w szczegółach i całości zawsze zbiorowym. Stąd i pozór demokracji, stąd i pozór świadomości narodowej u wszystkich szlachty. Ale naprawdę były to stulecia najniższych form organizacji narodowej świadomości w Europie. Ród i sąsiedztwo — oto najdalsze ramie więzi społecznej. Wszystko powyżej budowano z prostego sumowania przedstawicieli tych elementarnych form życia społecznego. A w świecie powstawały tymczasem skomplikowane instytucje kultury, wiedzy i techniki, wielkie organizacje handlu, komunikacji, przedsiębiorstwa, kompanie i związki przemysłu. Powstawały siły rzeczywiste rozstrzygające o mocy i słabości narodów. Panująca warstwa w Polsce nie nauczyła się jednak niczego. Dogała swoje: „kupą panowie”!

Kiedy przyjrzyć się Nowosielcom, niezależnie nawet od Poematu Ozgi, wypadnie stwierdzić, że na kopcu wójta Pyrza stanęli chłopci rozbudzeni i zorganizowani. Stanęło 40 lat tradycji Ruchu Ludowego, ale w manifestacji tych 200 tysięcy chłopów powtarza się nie inna forma wyrażania, przygotowywania i osiągania dążeń warstwy chłopskiej, niż dawna szlachecka: „kupą panowie”!

Rozumiemy doskonale, co znaczy 200 tysięcy. Zobaczyli się oto chłopci z całej Polski w takiej potędze liczby, że wstrząs jaki wywołała sugestia tłumy, dał zebrać najwyższe od czasów powstania Ruchu Ludowego odczucie warstwy chłopskiej. Idea gromadzkości nie tylko odświeżyła tu swoje konsekwencje, ale utwierdziła się w praktyce społecznej: od placu — gdzie obecni i przy głosie są wszyscy chłopci z wioski, do placu — gdzieby stanęli wszyscy chłopci z całej Polski. Oto dotychczasowa struktura warstwy chłopskiej.

Kiedy więc Ozga pisze: „Będzie Zjazd! Będzie święto od Karpat po Bałtyk” niewątpliwie wypowiada intencję i zebranych i tych, którzy pozostawszy we wsi oczekiwali z przejęciem skutków ogólnopolskiej pielgrzymki chłopów do Nowosielec. Ale co sądzi sam poeta o tym systemie organizacji chłopskiego życia społecznego? Wydaje się, że uniesienie, jakie ongiś przeżył na kopcu Pyrza, nie wyzwoliło go z uczuciowego związku z tym systemem. Byłby to klasyczny przykład, jak działacz niesłuchanie postępowy w programie, w metodach realizowania go nie wychodzi jeszcze poza tradycyjną strukturę społecznego życia wsi. Dlatego program żyje tu raczej w słowach, w zbiorowym uniesieniu, które go potwierdza i powierza przyszłym czasom.

Tych narowów szlachecko-ludowych jest u Ozgi nie mało. Delegacja mówi do Rydza:

„Pan nie wie, wiecie ludzi rodzą! Poemat zyskuje na jednoślości, bo marszałek-ziemianin doskonale wie, że „w Polsce były w modzie takie wiecowania”. I w tej wspólnotce atmosfery zjazdu Nowosieleckiego poeta wydaje się nie dostrzegać właśnie pierwotnego grzechu chłopskiego, niedojrzałości warstwy chłopskiej do zastąpienia w Polsce pańskich rydów.

Tak niebezpieczną atmosferę poeta pogłębia z zapalem. Czytelnika spija gorączkowym pośpiechem, dreszczami oczekiwania: oto całe zaścianki pustoszeją, wiedzione elementarnym instynktem potęgowania świadomości grupowej przez powiększenie ilości członków. A, że tu idzie o całą warstwę chłopską, wyobrażenie jej daje poeta poprzez ciągnące „chmury chłopów”, poprzez „zaporoże chłopstwa”.

Świełtne odtwarza psychologię tłumy, jaka oparowuje zjazd.

„Patrac chat chłopski chce natchnąć go (Rydzia), zmienić w obraz częstochowski”, albo:

„Znów się Jakuba Szeli doczeka i rzeził”

Są to dwa podstawowe prawa psychologii tłumy. Uwielbienie i nienawiść. Ta struktura społeczną miotają uczucia, nie myśli. I nie ludźmy się, taka jest właśnie rzeczywistość grupy pierwotnej, opartej o kontakty osobiste. Zebranie, więc, zjazd bliższe będą z reguły reakcjom tłumy, tj. temu, co myślowo najłatwiejsze dla zebranych.

*) „Poemat Nowosielecki” ukaże się wkrótce na półkach księgarskich.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Moja polna różyczko

Niosąc czerwone róże,
dziewczęta śpiewają, gdy mijam
cieniem wzgórz u podnóża,
skrzydłem lasu się owijam.

W lipach pachnących, koniecznie
w grykach, lubinach już coś się dzieje —
jak poczęty dziewczęcinie
błogostawia polom bartodzieje.

W hrabską łakę cichcem
wyganiają siewce —
w rękach kosy trzonek,
pod pachami skrzyppce.

Jeno się nad nimi niosą
i cichną wolania wronie —
zagrali, zadzwonił rosa,
z piosenką poranną pojechali błoniem.

Moja polna różyczko,
daj rumiane twe liźko —
jak kwilenie czajek twój głos,
moja polna różyczko
daj rumiane twe liźko —
i daj ten świat polny, w którym się srebrzą
tylko mgły ranne.
1943.

Przedwieczorne

Kiedy wzburzy się we mnie liryka
idę w sobie wezbrany, jakbym kołysał:
domy z rosy, welony kobiet i wiatr
i jakbym cieniem już był góręczko białolysa.

Już droga wylana z brzegów jak rzeka
dudni, odchodzi, nie powraca, ginie,
jak młodość: minęła nas już i urzekła
i znów moja muzyka uchyla rąbka wiklinie.

A ja komu błysk helmu jak polny wiatr zaniosę,
muzyczny zaigram (a ja już w cieniu cienia) —
rankiem wyjdę, z traw chłodną pozbięram rosę
i muzyczny minę sobie uboczem, skryty w cierniach.

Groźny to mechanizm tworzenia dzieł warstwy chłopskiej i narodu. Groźny, bo bezradny w tym wszystkim, co wymaga ciągłości i specjalizacji w organizowaniu kultury i ustroju.

A poeta? Jakże on zajmuje stanowisko? Poprzestanie na obfitym zgromadzeniu w poemacie charakterystycznych dla Ruchu Ludowego cech, czyni mimowoli z poety raczej jego piewę, niż krytykę.

A przecież, jeśli tylko „w obliczu sztandarów zielonych — wtedy wiemy, że jesteśmy narodem!” — nie jest to chyba najlepiej. Bo ten typ świadomości społecznej wywodzi się sprzed tysiąca lat. Ale wówczas inne były dzieje Europy i sama świadomość grupowa ludu zamykała się w granicach kilkuset rodzin.

Ta sama jednak bezpośrednia, zmysłowa forma, rozszerzona na całą warstwę chłopską w przededniu jej zwycięstwa politycznego w Polsce, to mało, to złowroźnie — za mało. Bo w przyszłej, już czekającej warstwie chłopskiej współodpowiedzialności za cały naród, czy może wystarczyć w obliczu nowoczesnej Europy tworzenie Polski i nadal tylko — „kup, panowie!”

BRAK WYŻSZYCH FORM WIEDZY SPOŁECZNEJ

Cechą wyższych i trudniejszych powiazań społecznych, która je odróżnia od podstawowej dotąd w warstwie chłopskiej więzi, opartej o kontakty osobiste jest właśnie ich pośredniość i nieosobistość. Nie urok znanego człowieka, ale autorytet wyspecjalizowanej instytucji. Nie wiedza z ust do ust, ale ze źródeł najbardziej kompetentnych, idąca po wszystkich drogach pośredniej komunikacji (szkół, instytucji, pism, książek, radia, organizacji, itd.) nie dobrobyt wznoszony przez jednostkę w granicach wyuczonych w rodzinie sposobów, ale dobrobyt powstający ze świadomego uczestnictwa w obywatelskim systemie, który wymaga najwyższych instytucji nauki, aby rozwinąć chociażby wynalazczość techniczną i rolniczą, wymaga przemysłu, który z kolei wyprodukuje narzędzia pracy, techniczne urządzenia i nawozy, wymaga szkół fachowych, które nauczą instalować urządzenia, posługiwać się narzędziami pracy i nową techniką rolną...

A tymczasem brak na wsi bogatej sieci ośrodków przemysłowej produkcji, brak instytucji kultury, oświaty, zdrowia, przedsiębiorstw, spółdzielni, nieobecność masowych udogodnień technicznych — wszystko to razem hamowało rozwój wyższych i różnorodnych uwarunkowań życia społecznego chłopów. Stan ten miał i ma wciąż potężnego epizymierzeńca — przyrodę. W prymitywnych i bezpośrednich związkach, w jakich chłop z nią przebywał, urok nieopanowanej przyrody utwierdza go w bezcelowości inowacji i zadawała złudzeniem, że kapryśne prawa dzikiej przyrody są niewzruszalnymi prawami życia ludzkiego.

Tak więc wytwarza się błędne koło — wieś bez ośrodków cywilizacji i kultury — umacnia w sobie dyspozycję do ich nieprzyjęcia!

„Ziemia huczy, wzbierają rzekami potopy, konie rżną, kopytami dudnią organy. Na gościńcu rozdarte płuca na

programy”.

Jakież wydierają się programy? Najsmutniejsze, że wraca w nich najczęściej skłonność do pierwotnej „kultury ludowej”. I kiedy program jest po to, że „przez żyły przeleci dreszcz niesamowity”, jakim tedy może być on w treści? — Czy w najlepszym razie nie programem zarażonym „od wieku liryzmem”, w czasach, kiedy pierwszym warunkiem wyróżnienia poziomów społecznych w Europie i Polsce winno stać się dla ludu wyjście z nędzy i ciemnoty, a to znaczy wyjście z tragedii istnienia poza cywilizacją nowoczesną?

„Poemat Nowosielecki” nie daje świadomej oceny czterdziestoletnich dzieł Ruchu Ludowego, choć stanowi syntetyczny ich obraz.

Uwalniając ten bogaty materiał od towarzyszącego mu lirycznego patosu, który w rezultacie uświęca go i idealizuje, możemy go streścić rzeczowo tak: daje on wgląd w tę epokę Ruchu Ludowego, kiedy masy chłopskie szły „ławą” i „chmurami” i nie dlatego tylko, że była to dla nich pierwotna i tradycyjna forma działania społecznego, ale że przywódcy nie próbowali zmienić tego stanu. Bo rodzili się i rośli na „wiecach”, bo działali na „gościńcach”, bo u ludu chcieli zyskać legendę (t. zn. ten rodzaj sławy, który wymaga naiwnych, ciemnych mas, lubujących się w królowych walecznych, pomazanych bożych i zbójnikach, broniących lud ukrzywdzony) bo do panów w swaty szli i powroty wieźniów tylko chcieli, bo tworzyli wizję Polski, co by była „jak za Piastów”. Ta epoka musi wreszcie odejść!

ZWIĄZEK Z MASAMI

Inna jest sprawa z ludem. Tak Ozga, jak wielu innych działaczy chłopskich pojmują błąd w ocenie związku pomiędzy masami a ich przewodnikami. Jasne, że to lud jest podmiotem historii. I działacze są dla ludu, a nie on tworzy ich dla ich dowolnych spekulacji. Ale to wcale nie znaczy, aby związek ten nie miał się różniczkować i rozsuwać poprzez ogólną coraz to wyższych i ważniejszych instytucji. Chłop, który byłby kierownikiem nawiązanej państwowej, a całe uprawnienie do tej funkcji czerpał z tego, że jest klasycznym wzorem rolnika, który chodzi za plugiem, byłby przykładem związku prymitywnego. Tam na górze manifestowała by się tożsamość z tym co w niedźnych i ciemnych dołach. Ale przecież taki związek nie leżałby ani w interesie ludu, który w swoich przywódcach i uczonych przedstawicielach winien widzieć perspektywę dla swego rozwoju i nie tylko wiecować, t. zn. zawarta w samym progra-

mie, ale również w przygotowanych własnych siłach do zrealizowania go we wszystkich dziedzinach, ani też nie leżałby taki związek w interesie narodu, którego egzystencja i znaczenie zależy od stopnia uczestnictwa we współczesnej cywilizacji i kulturze świata.

To prawda, że ilekroć lud odzywa się sam, są to zawsze rzeczy najbardziej zasadniczej wagi.

Lud na wszystkich manifestacjach wyraża wolę oświaty. Ale przywódcy przycinali ją uporczywie, jak knoty u lampek. Chcieli, żeby chłop był tylko rolnikiem, przypominali, że my kierujemy się uczuciami, a niech miasto rozumem, że cywilizacja techniczna to objaw degeneracji świata ludzkiego. Czymże to było? Było zatrzymywaniem warstwy chłopskiej w tym systemie powiązania społecznego, jaki u chłopów nazywa się „ławą” a u szlachty zwał się „kupą, panowie!”

Przy tym stanie rzeczy przywódcy byli masom oczywiście bliżsi, mieli i wasy i koszule bez kołnierzyka i siłę do rzucaenia na wóz metra pszenicy, ale razem tworzyło to całość nie przybliżającą, ale oddalającą się od pozycji w państwie, o którą się równocześnie tyle psu na buty jardaowało.

W kierunku bowiem, który lud wytacza jest perspektywą i oddech wielkich dzieł przyszłości.

Kiedy jednak „wiecowi” przywódcy w juchtowych butach wmawiali ludowi, że dobra i parcelacja z wykupu, kiedy i dziś jeszcze wmawiają, że elementarna oświata ludowa jest dla niego w sam raz — byli oczywiście łatwo zrozumiani, ale za cenę więzi tradycyjnej, mocno w tych bałamuctwach wyczuwanej, jako „swojska”, kurczyli właśnie perspektywę wielkich dzieł ludu i marnowali jego historyczne odruchy zbiorowej woli.

Koniec takiej przeszłości!

Jan Aleksander Król

JÓZEF OZGA-MICHAŁSKI

Poemat Nowosielecki

(Fragment)

Dzień nucił jasno drzewom w lipowym oddechu,
śpiewały pszczoły, jak w kowalnym miechu
lejąc rojami iskier dzwoniąc w plaster miodu
monstrancję złota pełną, bursztynu i słońcu.
Wschód teraz — W parku dworskim powstały już cienie
zruczone w przemoc nocy na zroszoną ziemię
zebrały siły światła i leżą zielone
fotografie lip starych na trawie skoszonej.
Naprzeciw dworu kościół a wysokie wieże
w niebo rosną jak dwie ciasta dzieje
z podplomykami dzwonów, które śpiącym głosem
od spłzu, czy od prochu w jakiejś wojnie bosej
zdobyte, zwolują parafian pielgrzymów
do wsi Szczurowej jakby do małego Rzymu.
Słońce wyżej. Trzecia od dworu chałupa
cicha stoi w opłotkach a na sztachet nutach
kluczem w furcie zamkniętych jest spokój,
niemość głucha i bielmo na oku —
Tam chory leży Jakób Nita.
Trzy tygodnie z Berezy jak wrócił, zaniemógł z pobicia
i leży w łóżu — trzeci tydzień —
W izbie truchło. Czy Jan Rassak przyjdzie,
zapytał — Tak tato, rzekła córka Maria,
lży w zielony grószek w fartuch oczy otarła —
Powiedział, że jak tylko wróci,
tu przyjdzie. Ach to znów mi siły wróci —
On tak umie przemówić gorąco,
tych wszystkich generałów, ministrów postrąca.
— A jak napisał do mnie list głowę dźwigając od stoła
mówił ciężko, głos na treść nacągając, jak obręcz na koła,
chcąc przede w miejsce listu powrócić pamięcią,
aż uderzył w dźwięk młota i języka tęczę
odmalował, że wtedy był Jan Rassak w Kielcach
profesorem łaciny i że chcieli go przenieść do Miela
za to, że kiedyś w klasie przy wizytatorze
powiedział, że Witos Polskę orze
jak Rzymianin — imienia jego nie pamiętam —
w liście jest napisane — na capigach ręka
tego chłopca rzymskiego jeszcze z przed Chrystusa
na rycinie pokazał mi — kołmi rusza —
— Wio siwe! — Ach to były woly —
Więc do niego przyszły posły apostoły
w pole i mówią: Ratuj Rzym, bo zginie.
Do Witosa, gdy orzał znów pod oziminę,
z Warszawy przyleciały dwudziestego roku
i zratował — aż czuje dotąd jeszcze w boku!
A ja! — Obrazy swoje złożył na powale
oczami, które były siwo białe —
Patrzył na nie oprawne w strzegające ramy,
wisiły rozwieszone jego spojrzeniami.
Powicki cieniowały je — wytarte pendzle
w służbie piękna i w światła kolorów potędze
zużyte już i niedołężne. — Daj mi wody, chcę pić
znowu zaschło w ustach, umrzeć raz, albo żyć,
ta izba wciąż nusta! Wysła Maria w niedzielne podwórce.
W furcie Jan Rassak — Ja wprost z podróży,
ojciec jak? Ważna jest do niego sprawa —
mówi prędko i biegnie, kapelusz poprawia.
Już jest w sieni — jaki to przedki człowiek,
szczygiel mu nie dorówna, skowronek nie powie
tyle słów nad zagonem wiosennego siewu!
Ile w nim jest radości, zdarzeń pieśni gniewu!
— Nito! — krzyczy od progu wysokim dyszkantem.
Idziemy w Nowosielce — Jestem komendantem.
Wy to naprawdę jesteście nim — ale dziś chorzy,
nad chłopami nie weźmą komendy doktorzy,
więc ja zdrowy na ciele i mózgu przytomny
obejmuję Brzeski powiat i pieszcy i konny!
Będzie zjazd! Będzie święto od Karpat po Bałtyk.
Postawimy żądania, odkryjemy karty!
Wicie Nito, gadają, przyjdzie Marszałek —
— To nie jest człowiek stały —
rzekł chory, tym ludziom nie wierzę,
my ze sobą zawrzyjmy raz tylko przymierze —
a wygramy — Te tam kompromisy,
łaski różne — to są chytne lisy —
Nagle porwał się z łóżka — Precz! Nie chcę, nie pragne,

Ja jadę i ja im to wszystko wygarne.
Oni tam wsadzają Rydza, gdzie trza grzyba
prawdziwego! — Nito, ale to jest chyba
pomyłka — słuchajcie do końca —
ludowcy tam są gośćmi, — słyszałem od gońca...
— A jeśli będzie nas dwieście tysięcy —
a ich dwa — to kto gość? Milczcie i nie więcej —
A jeśli nas chłopów dwadzieścia milionów,
kto gość w Polsce! — my? Czy stu legionów?
Wóz szykować — skoczyć na podłogę
stary Nito, nogi miał spuchnięte obie —
wsadził w buty — aż stęchły — zgrzytnął w zęby zdrowe
zdawało się, że izba węglami odpowie —
— Pojedziemy, bo pisał do mnie Józef Bania
z dąbrowskiego, że cały powiat mi się kłania.
Więc muszę się odłożyć ja brzeskim powiatem
i dwudziestotysięcznym na wiwat wiwatem —
odpowiedzieć — nie inaczej! Maria zatrwożona.
Ojciec zdrowy! A przez trzy tygodnie konał,
Jan Rassak niemy. — Ach! To on go na nogi postawił —
Wybierają się w drogę, Ojciec taki żwawy!
Teraz do niej — Marysiu przygotuj mi jadła
na trzy dni — chleba czerstwego i sadła.
— Do picia co? — Z picia nic nie trzeba.
Deszcz będzie może padał — Picie będzie z nieba.
Uwija się sprzęty, drzwi skrzydłami ramion
są u ludzi, rozstiera je Nita — Janie,
wieś jedzie? — Tak, już wszystko gotowe.
— Ty przypilnuj cały powiat moim słowem.
Rassak wybiegł trzepocąc kapelusza wstęgą.
Na podwórzach rżną konie już prawie w zaprzęgu.
Drabinki i wasagi, latają półkoszki.
— Grochowin na siedzenia zrobić zdane wiązki.
Dyszel celuje w słońce, wystrzał entuzjazmu
w ulice wpadł okrzykiem, jak echo najazdu —
— To górale! Patrząjcie, jak śniegi ze szczytów
stają się spłynęły pod słońcem zenitu
myśli chłopskiej, w łożyskach ruchu ludowego
szumią rzeką na przybró nizinnym szeregom.
Dunajcem wartko prądem, przez wieś kłus z galopem.
Strzela okrzyk — Jedziemy dzisiaj na Wasz kopiec!
Przeleciał obok gór, powietrze szczytów,
zapach parzenc, gwiazd, oddech storczyków,
jak po deszczu, po burzy, z nieba spadł nagle,
świeci tęcza górali za wsią góńiek żaglem.
Nita odszedł od okna — w oczach mu świeciła
lza ze szczytu połoków — z rzeki co spłynęła.
— Zaprzadź konie! Dogonić! Dogonić ich jeszcze.
Obieję ich powiatem brzeskim, gęstym deszczem!
Spojrzenie błyskawice wyrzucił przed gromem
głosu na zapowiedź ulewy, która już przed domem
wzbierała — Jedziemy! Ruch w gościńcach niebywały,
pomiędzy Krakusami motyle górali
leca jeszcze za kierzem, który przecwałował
za mostem, za osiedlem cygańskim się schował
— Panie Nito! A sztandar? — przyleciał chorąży
cały drżący od srebra w krakowskiej uprzęży.
— Sztandar w mojej stodole wisi nad boiskiem.
Pobiegł — skrzyknęły wrota zardzewiałym piskiem,
potem wyszedł wspaniały z zielonym baldachem
nad głową już nakrytą leśnym dachem,
pod dąbrową pachniało koniczyną staję
marsze chłopskie, idące do nowego wschodu,
od uczuć nam wiadomych w obliczu sztandarów
zielonych — Wtedy wiemy, że jesteśmy narodem!
Gdy siękają w wysiłku w kurzawach pochodu
marsze chłopskie idące do nowego wschodu
twarze ze śpiewu — żywym tchną im rozmarynem;
kalinowe dziewczyny niosą farzębiny
a student zagubiony, stokrótka obłoku
świeci uśmiechem w oczy — jak gwiazdka raz w roku
wakacyjna — Topole na sztandary rzucają uroki,
rosną w niebo — chorąży drzewem jest wysokim.
Kwiaty polne do rowów się schodzą wilgotnych,
biegają granicami w kolorach zawrotnych —
Ach! I podróże drzew przy sennej drodze
przystanął na jednej wsparte nodze —

PIOTR STANISŁAW ZIARNIK

Czy regionalizm?

(Artykuł dyskusyjny)

W powodzi różnego rodzaju pism na specjalną uwagę — nie tylko ze względu na wartość literacką — zasługują dwa nowe: „Wiatr od morza” i „Cychry”. Pierwsze jest miesięcznikiem „poświęconym polskiej literaturze marynistycznej” (tak mówi podtytuł) a szerzej — polskiemu wybrzeżu. Drugie, którego nazwa wzięta jest ze staropolskiego i oznacza odarte z kory pnie bartne, jest pismem kieleckim, mającym na celu upowszechnienie kultury. Są to — krótko mówiąc — pisma regionalne i stanowią dalsze pozycje szeregu: „Zdrój”, „Odra”, „Arkona”. Właśnie to jest ważne, że szereg ten (w którym trzy pierwsze — początkowo raczej przez miejsce i zespół współpracowników na nazwę regionalne zasługujące — obecnie coraz wybitniej krystalizują się w pisma pewnego okręgu) jest w porównaniu z ilością pism o zagadnieniach kulturalnych dość długi. W dodatku objął najciekawsze regiony polskie. Stosunkowo mało aktywne jest Podkarpackie, Łowickie (znajdujące się między centrami kulturalnymi Polski nigdy zresztą nie miało swego pisma kulturalno-literackiego), również Podlasie. Jeżeli jednak tempo, w jakim ukazują się pisma regionalne nie osłabnie, przypuszczać należy, że i te i może inne regiony o charakterystycznych

odrębnościach kulturalnych szereg omawianych powiększa.

I tu sprawa zaczyna być ciekawa. tym bardziej że pisma nie tylko przez samo ukazanie się, ale wyraźnie w artykułach stawiają zagadnienie regionalizmu, w dodatku, jako sposobu upowszechnienia kultury ogólnonarodowej. Zagadnienie to postawiły „Cychry” — ostatnie dotychczas ogniwo łańcucha — warto więc im parę słów poświęcić. Pismo wydaje Klub Literacki w Kielcach, kolegium redakcyjne stanowią Józef Ozga-Michalski — znany poeta, Jan Pazdur, Jan Aleksander Zaremba i red. naczelny Jan M. Gisges — młody poeta i powieściopisarz. Co jednak przedstawia sobą pismo?

Interesująca jest kolumna poetycka. Zawiera fragment „Poematu Nowosieleckiego” — Ozgi-Michalskiego, wiersz „Bartek” — Z. Siedleckiego, oraz interesujący debiut Jana Gisgesa „Wigilia”.

Oprócz — raczej nieciekawej prozy — na uwagę zasługują dwa artykuły „Region świętokrzyski ze stanowiska humanistycznego” — J. Pazdura i „Regionalizm a upowszechnienie kultury” — Z. Siedleckiego. Jeżeli chodzi o pierwszy, który jest historycznym przeglądem wkładu regionu świętokrzyskiego do kultury polskiej, stawia on prob-

lem regionalizmu, rozwinęty w artykule drugim, w ten sposób: Region jest to Ojczyzna. Aby go poznać, trzeba go stracić. Choćby tak jak Żeromski, który dał „syntezę myśli i duszy Łysogór”. A dalej: „Ponieważ większość naszych obywateli wyrasta i pozostaje w regionie, nie może ona nigdy przez tęsknotę wychodźstwa uświadomić sobie, jak wiele zawdzięcza okolicy, która ją wychowała”.

„Zadanie to musi na siebie wziąć inteligencja. Jest to sprawa w narodzie naszym pilniejsza, niż w jakimkolwiek innym zakątku Europy. Nie możemy się żadną miarą pozbawić wychowawczej siły, z jaką przemawia do nas ziemia. Bo to jest mowa nasza, odwieczna...”.

Wybrałem te zdania nie dlatego, aby je omawiać, sądzę bowiem, że krótkie, lub dłuższe, takie czy inne — ich określanie i skorygowanie nie jest specjalnie ważne. Chodzi mi o postawienie przy ich pomocy pewnego problemu. Aby on był pełniejszy, skorzystam z drugiego cytowanego powyżej, artykułu.

Autor — przeciwnie niż poprzedni — wychodzi od zagadnień aktualnych. Od obowiazku sprawiedliwego i równego podziału dóbr kulturalnych, od ogólnonarodowej troski o podniesienie wsi gospodarcze i kultu-

ralne. Po krótkiej i uproszczonej analizie przyczyn, powodujących w przeszłości i teraźniejszości rozdział między sztuką i społeczeństwem, Z. Siedlecki konkluduje w ten mniej więcej sposób: Sztuka (czytaj kultura) ta uznana, która miała konsumentów w przodujących klasach społecznych, w tej chwili nie może być wchłonięta całkowicie przez wieś. Czy to znaczy, że ma być odrzucona? Autor daje odpowiedź przeczącą. Bo gdyby chłop chciał poprzestać tylko na dorobku własnym, musiałby (czy koniecznie?) odrzucić wiele ogólnoludzkich przez kulturę światową osiągniętych wartości. Trzeba zgodzić się na kompromis. Jest nim przyjęcie regionalizmu, który autor pojmuję, jako ogólnopolski prąd umysłowo-kulturalny. Regionalizm przeniosłby z kultury ludowej nieznane a cenne wartości do kultury ogólnonarodowej i przyczynił się do zwalczania kompleksu niższości kultury ludowej.

Tyle mówią artykuły „Cychry”. Streszczałem je, aby łatwiej postawić problem regionalizmu na łamach „Wiś” i wezwać pisarzy ludowych do dyskusji.

Trzeba stwierdzić, że jest w Polsce kilka okręgów kulturalnych, posiadających cechy odrębne nie tylko od kultury miejskiej, miłośnicie nam panującej, ale od kultury pozostałych okręgów. Odrębności te, obejmują takie zespoły wytworów, jak język, stroje, budownictwo, zdobnictwo, zwyczaje i obyczaje, oraz oprócz innych niewymienionych literaturę ustną.

Czy zespół wyliczonych powyżej wytworów kulturalnych, a raczej: czy wartości, jakie poszczególne zespoły w poszczególnych regionach reprezentują, są godne uwagi? I czy wartości te są rzeczywiste, to znaczy czy obiektywnie stanowią coś samodzielnego i kulturalnie twórczego? To pierwszy problem.

Chodzi w nim o stwierdzenie, jak aktualna jest w tej chwili sprawa kultury regionalnej dla ludzi, żyjących w tych regionach i dla kultury ogólnonarodowej.

Kultura regionalna jest, jak każda kultura zespołem wytworów działania ludzkiego, choć jest również dokumentem typu działania pewnej grupy ludzi. Styl — mówiąc nawiasowo — nie jest tylko pojęciem określającym kulturę, jako zjawisko dokonane, jest również pojęciem otwierającym definicję pojęcia „kultura” na sferę aktualnych czynności człowieka. W związku z tym nasuwa się uwaga, że regionalizm, szperający w elementach kultury regionu (powiedzmy dla ułatwienia: ludowej), będzie w wypadkach najdotkliwszych — uczciwie sprawę biorąc — zbierał materiał folklorystyczny, objaśniał go i pokazywał jego wartości. W innym, możliwym wypadku — stanie się stróżem tradycji. O tę tradycję chodzi. W czasie obsesjonalnie rozwiniętego rewizjonizmu w stosunku do naszej kultury ogólnonarodowej, regionalizm mógłby przyczynić się do wyznaczenia wartości z naszej tradycji, któreby zapewniły miejsca po wyrzuconych i zaprzeczonych kulturalnych osiągnięciach.

Regionalizm, jeżeli ustrzeże się błędów przeszłości, może nauczyć, nie tylko, jak chce Z. Siedlecki, chłopów szanować kulturę własną, ale również innym społecznym grupom dostarczyć tradycję kulturalną, godną „wreszcie” szacunku.

To problem drugi: sprawa wypełnienia zadań, jakie „Cychry” i inne pisma regionalne postawiły sobie i perspektywy ich osiągnięć.

Ostatni z najbardziej interesujących mnie problemów, to poruszone przez Siedleckiego upowszechnienie kultury. Zachodzi obawa przy propagowaniu regionalizmu, że pisma hołdujące mu, mogą w entuzjazmie, „tego ludowego”, „swojskiego”, barwnego, dla „tych legend prastarych i obyczajów ojców” zgubić się i nie zauważyć przemian dzisiejszych, nurtu obecnego, jaki trwa i pulsuje wśród tych, których region wychował — gorzej, mogą te pisma nie dość wyraźnie i nie dość decydująco wpłynąć na życie kulturalne reprezentowanej „okolicy”.

Obawa ta jest bardziej niepokojąca, niż inne, jak choćby przed parafianstyczyną.

Pisma regionalne i działacze kulturalni „na niwie regionu” muszą szeroko otworzyć wrota swych szpał dla współczesnej, aktualnej problematyki kulturalnej, społecznej i gospodarczej kraju i swego regionu.

Nie chcę rozszerzać tymczasem, naszego zagadnienia, aby nie komplikować i nie narzucać moim następcom, piszącym o regionalizmie, sztywnych ram, któreby mogły być ze względów merytorycznych kwestionowane. Zapraszam ich tylko do zabrania głosu.

DR MIECZYSLAW KAFEL

Początki polskiej prasy w zaborze pruskim

Trochę to nieprawdopodobnie będzie brzmieć, gdy powiemy, że najbardziej uboga jest u nas literatura dotycząca historii polskiej prasy. Tak jest niestety. Nie mieliśmy na ten temat żadnego poważniejszego opracowania a i o przyczynki historyczne nie jest dziś łatwo. Za niedbanie to ciężkie, tym cięższe, że w pierwszym okresie narodzin i rozwoju polskiej prasy, w owych latach 17, 18 i 19 wieku, organizatorami jej byli ludzie tej samej miary co: Bohomolec, Krasicki, Libelt, Śniadecki, Cieszkowski, Popławski, Miarka, Koźmian, J. I. Kraszewski i wiele innych znakomitości pióra. Niedocenianym dalej jest fakt, że prasa owych czasów bardzo skrzętnie zabiegała o chłopskiego czytelnika a właśnie wieś i tematy z nią związane bardzo wiele (jak na owe czasy) zajmowały miejsca na jej łamach. A co najważniejsze: początki polskiej prasy to nie tylko Kraków i Warszawa z pierwszym „Merkuriuszem” czy „Awizami”, ale właśnie Bytom, właśnie Królewiec...

KRÓLEWIEC

Roku pańskiego 1718 w dniu 6 sierpnia wyszedł w Królewcu pierwszy numer czasopisma polskiego, pod niewiele mówiącą nazwą: „Pocztą Królewiecką”. Była to „obszerna” gazeta obejmująca 8 stron druku z kłiszą tytułową, która obok napisu „miała w herbie” wizerunek gońca na koniu, ówczesny symbol przenoszenia wiadomości na odległość. Po kilku numerach tygodniowych tytuł poprawiono czy zmniejszono z Pocztą na Pocztę Królewiecką. Redaktorem i wydawcą zarazem był właściciel tamtejszej polskiej drukarni Jan Dawid Cen, kier. Niektórzy piszą też Zänkeir, jest to jednak zniekształcone brzmienie a nie nazwisko właściwe. Redaktor Cen, tej pierwszej w Królewcu a trzeciej w ogóle polskiej gazety, wydał odezwę do czytelników w której solennie zapewnia, iż będzie się starał zorganizować liczną sieć korespondentów tak miejskich jak i „włościańskich”. Słowa dotrzymał. Ani się polapali królewieccy kupcy — jeżdżący w sprawach handlowych po świecie — jak redaktor Cen, „wyciągał” od nich nowiny z dalekiego świata, które za kilka dni sami czytali z zainteresowaniem jako artykuły z Wiednia, Rzymu, Wenecji, Szwecji, Rosji, Anglii, Portugalii, ba nawet w ciągu trzech lat ukazało się 7 korespondencji z... Azji i Afryki.

Jeśli chodzi o Polskę to „korespondenci” Ceniera docierają do Częstochowy, Lublina, Lwowa, Warszawy, Mohilewa, Torunia, Krakowa, Wilna, Grodna i Kamieńca. W tych korespondencjach krajowych wiele miejsca poświęca Cenier sprawom „biednego ludu” wjejskiego, „Pocztą Królewiecką” podawała dalej dzieje „wszystkiego świata” a więc wieści o wojnach, o zawartych pokojach, o szerzących się zarazach, o nieurodzajach itd.

Pod względem językowym Pocztą stała na wysokim poziomie. Oto co pisze o niej Wojciech Kętrzyński: „Kto panu Cenierowi był pomocnym przy układaniu gazety i przy tłumaczeniu korespondencji, nie wiadomo. Sądząc

jednak po stylu npiemam, że jak wydawca był Mazurem, tak i jego pomocnicy byli zapewne rodem z Mazur. Kolonią polską w Królewcu nie była wówczas mała, bo posiadała nie tylko swój kościół, lecz także szkołę polską. O ludzi więc mówiących i piszących po polsku nie było trudno”.

Pismo to ukazywało się od 1718 do 1721 roku.

POMORZE — PRUSY ZACHODNIE

Nad historią polskiej prasy pomorskiej pracował przed wojną L. Sobociński. Według jego zapodań (zamieszczonych w mies. „Prasa”) historię polskiej prasy na terenie Pomorza otwiera rok 1764. W Chełmnie OO. Misjo narze organizują pierwszą drukarnię, w której obok broszur i książek pojawiają się Nowiny o treści przeważnie moralno-religijnej. W roku 1938 wydaje Jan Lohde w Chełmnie pierwszą Gazetę Polską, która ma swym zasięgiem objąć całe Prusy Zachodnie. Ukazywała się ona przez czas niedługi i dziś nie wiadomo czy zachowały się gdzieś egzemplarze tego pierwszego pisma polskiego ukazującego się na Pomorzu i w Zachodnich Prusach.

W roku 1848 ukazują się „Katolik Diecezji Chełmińskiej” a prawie równocześnie pojawia się „tygodnik dla biednego ludu” pod (trącającym dziś myśzką) tytułem „Biedaczek”. Redaktorem jego był Julian Prejs. Pismo to pierwsze podjęło, na swój sposób pojętą walkę o poprawę bytu polskiej warstwy chłopskiej. Przy wydawnictwie tym ukazywał się coroczny kalendarz „Sierp Polaczka”, który rozchodził się w bardzo wielkiej (na owe czasy) liczbie kilkunastu tysięcy egzemplarzy. W tym samym czasie ukazało się w Chełmnie czasopismo pod nazwą „Szkoła Narodowa”.

W owym okresie (a był to rok 1848) wychodziły w Chełmnie 3 czasopisma polskie a tylko... jedno niemieckie. Dodawać nie potrzeba, że czasopisma polskie były prześladowane, nie wolno im było np. kupić własnej drukarni. Pruska rzeczywistość nie była jednak w stanie na przeszkodzić w istnieniu istotnego układu sił ówczesnej prasy. Stosunek 1:3 na korzyść polskiej prasy utrzymywał się. Oto jeszcze jeden dowód jak 100 lat temu wyglądała „niemieckość” Pomorza.

W roku 1850 Danielowski Ignacy i S. Gólkowski montują pierwszą drukarnię polską na Pomorzu i wydają przeznaczony dla wsi tygodnik polityczny p. n. „Przyjaciel Ludu”, który osiąga 12.000 nakładu. Był to okres powstania styczniowego. Nakłady polskiego słowa drukowanego rosły. Później powstaje „Gazeta Toruńska”, „Nadwiślanin”, „Gospodarz” a nawet oddzielne pismo dla dzieci. L. Sobociński*) tak tłumaczy prężność ówczesnej prasy pomorskiej: „Podstawą był głód

polskiej książki i gazety. Bystre oko policji i żandarmerii pruskiej pilnie strzegło ażeby się gazeta ani książka tak łatwo przez kordon nie przedostawała. Pod względem duchowym Pomorze żyło wówczas jak w obozie koncentracyjnym za drutami kolczastymi praw wyjątkowych”.

ŚLĄSK — BERLIN

Nie wiele — zdaje się — wiadomości można dziś zebrać o początkach polskiej prasy na Śląsku. A przecież była ona tu bardzo żywa i silna. Trzeba również zwrócić uwagę na fakt, iż była to przede wszystkim prasa ludowa: robotnicza i chłopska. Początku doszukiwać się należy bodaj w Cieszynie, gdzie w r. 1848 powstaje „Tygodnik Cieszyński” redagowany przez znanego działacza polskiego Stalmacha.

W Bytomiu wychodzi od roku 1868 polski organ p. n. „Katolik”. Przetrwał on długie lata. Z okresów późniejszych wymienić należy: „Głos Ludu Śląskiego”, „Rolnik Śląski”, „Gazeta Robotnicza”, „Górnoślazak”, „Nowy Czas”, i inne. Od roku 1891 ukazują się w Berlinie czasopisma polskie p. t. „Przewodnik Zdrowia” redagowane przez dr H. Czarnowskiego.

Od roku 1896 ukazują się również w Berlinie polski „Dziennik Berliński”. Niestety brak bliższych danych o tym piśmie. Wspomina tylko o nim St. Jarkowski**). Może przechowały się gdzieś komplety tego pisma i dziś skoro mamy dostęp do „źródeł” berlińskich może uda się je zdobyć.

**

Takie były początki polskiej prasy pod zaborem pruskim. I tylko o tych początkach mogliśmy wspomnieć w niniejszym artykule. Nie o historii. Bo historia, tych i późniejszych lat prasy polskiej, to sprawa zbyt trudna. Historia ta będzie niezmiernie ciekawa. Na łamach ówczesnej prasy łączyło się życie z nauką, fakty z próbą syntezy. Prasa dawna, prasa historyczna nie była prasą ściśle informacyjną. Była ogniskiem kultury narodowej. Nie było wówczas poety czy pisarza polskiego, któryby nie był równocześnie współpracownikiem gazety. Słowo drukowane było potęgą. Niosło wieść o Dąbrowskim i Kościuszcze, kazało powtarzać: jeszcze nie zginęła. Głosu tego bardzo pilnie nasłuchiwał ówczesny chłop polski. Niewątpliwie te stare szpagary dawnej polskiej prasy niejedno nam jeszcze powiedzą o patriotycznej postawie chłopstwa polskiego.

To są istotne i niewątpliwie powody dla których trzeba pisać całkowicie zaniedbaną historię prasy polskiej.

*) L. Sobociński: 60-lecie prasy polskiej na Pomorzu.

**) St. Jarkowski: Najstarsze pololenie prasowe, Warszawa 1930.

ANTONI OLCHA

Nowa Naprawa

Powoli przetaczały się za góry świetliste koła dnia, umazane w błękitnie nieba, w burzyźnie zoranych zagonów, w tęgiej zieleni trawników. Stare modrzewie rozdawały hojnie swoją radosną, uroczą woń. Józef Majerek siedział pod młodą gruszą w kwaterym ogrodzie i śmiał się głośno.

— He — e — e!... Chłopcy, co byście się boli? Cego?... Jo tela światu zjeżdżał i nie mi się nie stało, A tu się już niektórzy tropili, że Majerka mina rozerwiała!...

— A jeszcze jak gadali!...

— Najwięcej się strachali baby u Dydała...

— Nie u Dydała, ale u Tłuka, próbował

radzących, zapytywali Majerka o wszystko od początku. A jak? a co, a gdzie?

— Domy tam ładne?

— Jak gdzie. Poniekąd ładniejsze od tych, co nam je Niemcy spalili w Skawie i Malejowej. Ale i to wam trza wiedzieć, że tam dawniej mieszkali Polacy, ino ich prusacyziny wygnały. — Poobiedlali swoich bruchaczy. A teraz wszystko porzucili, uciekli. Ziemia mało gdzie obsłana, budynki stoją otworem i niszczej. Trzeba to obejmować, ratować od zmarnienia.

— Ziemia dobra?

— Żyto się udaje pięknie, Pszenica gorzej,

gospodarstwach najpierw jako parobcy, a później jako właściciele. Niemcy wyzybywali się ziemi, bo im się nie chciało na niej pracować. Dopiero Hitler wprowadził ostrą kontrolę w tej dziedzinie i nakazał Polaków używać do czarnej roboty, wyzyskać nas do ostatniego, a potem wypłuć z niemieckiego organizmu gospodarczego. Czy wy wiecie, co to znaczy?

— Niemcy ziemi nie kochają. Samym się na niej pracować nie chciało, szukali niewolników.

— A i to się lękali, że ich ci niewolnicy pokojowo wyprą z ziemi...

— Dwa miliony naszych mieszkało w Rzeszy do września 1939 r.

— Niemcy byliby coraz liczniej porzucali dobrowolnie swoje gospodarstwa nad Odrą, gdyby im Hitler gwałtem nie nakazał, że tego nie wolno.

— Wicie, wicie. I poszli se szukać parobków.

— Tymczasem nad Odrę pódją gospodarze. Naszym praojcom i dziadkom wydarli tam ziemię przemocą, rabunkiem, mordem.

— Nie ino praojcom. Nie zapomnijmy o braciach, co tam do dziś żyją, co uchowali się przed zgładzeniem.

— Odebrać — nasze, a braci — wesprzeć!...

Co powstrzymuje wielu od natychmiastowego przesiedlenia się na ziemię odzyskaną, wielu, którzy tam iść powinni?

Brak dokładnych wiadomości o warunkach życia i pracy. Obawa przed wysokimi kosztami przesiedlenia. Skoro najwięcej ludzi biednych chciałoby pójść — to jakże oni opłacać wydatki? Skąd nabrać tych tysięcy? Poza tym: jechać w pojedynkę na łeb na szyję? Gdzie? I po co? Tam jeszcze niemieccy bandyci grasują ponoć... Tam jeszcze i mina może rozerwać... Gdy się samemu pojedzie, to o kogo się oprzeć w razie potrzeby?... I gdzie to i jakie te te urzędowe papiery są potrzebne?...

— Pojechałby niejedyn, ale jak tam nie zyskasz, a tu już stracisz?

Tyle rzeczy niejasnych. Niewiadomych. Dopiero ogłoszono zakończenie wojny. Czy aby już naprawdę? Bó poniekąd mowią...

Odstraszającą propagandę szerzyli ci, którzy wyruszyli na zachód na własną rękę i zostali gdzieś po drodze okradzeni, lub też nastraszeni przesadnymi plotkami przez złośliwców i znękami trudami podróży w ciężkich warunkach — powrócili do domu.

— Musimy jechać, lub maszerować zorganizowaną gromadą, mówiono na zebraniu.

— W gromadzie nic się nikomu nie stanie. Obsiedlimy się i stworzymy wzorową wieś.

— Nową Naprawę!...

— Słusznie, Nową!...

— Piękną.

— Wzorową tu i na zachodzie.

— Trza podjąć hasło i ciskać nim na cały kraj!...

— Będzie roboty na kilka lat...

Wspominano minione czasy przedańców, walk, mozołów.

Naprawa oznaczała dotąd wszystko co najbiedniejsze, najgłodniejsze i nieporadne. Tak to było w powieści *) ogłoszone i tak świat zapamiętał.

— Od teraz niech się zacznie płomiennie nasza dobra robota. Nowa Naprawa — hasło mocnej organizacji, mądrej dyscypliny, szybkiego działania, samodzielności chłopskiej, przebojowego marszu w jutro — wbrew trudnościom, wbrew przeszkodom wszelkim!...

— Nowa Naprawa: stań się!

Plan: zebrać grupę do 20 delegatów. Niech idą, albo jadą na Zachód. Niech w porozumieniu z władzami wybiorą powiat dla osadnictwa. Gdy to uczynią — część delegatów powróci, zda sprawozdanie z podróży, a część pozostanie w obranym miejscu. Ci, co pozostaną — to będzie drużyna organizatorów. Zadaniem ich jest zabezpieczenie gospodarstw dla przesiedleńców, oraz przygotowanie planu osiedlenia, żywności na pierwsze dni, zaprojektowanie siedziby gminy, milicji, domu ludowego,

*) Mowa tu o powieści Jalu Kurka — „Grypa szaleje w Naprawie“ (przyp. autora).

spółdzielni i związków. Dokładne zapoznanie się z warunkami miejscowymi.

Ci, co powrócą — będą przewodnikami dla organizującej się kolumny. Mają przewidzieć miejsca postojów, zakwaterowania na noc.

Komitet przesiedleńczy, wybrany na zebraniu, miał się zająć:

1) sporządzeniem spisu ochotników, pragnących wyjechać nad Odrę,

2) zorganizowaniem Nowej Naprawy — a więc Gminnej Rady Narodowej, władz gminnych, straży ochronnej, koła Związku Samopomocy Chłopskiej,

3) obmyśleniem sposobu przesiedlenia i przeprowadzeniem koniecznych prac wstępnych,

4) załatwieniem formalności w urzędach.

Ustalając ten doraźny plan działania — naprawianie pamiętali również o przyszłości starej, górskiej Naprawy: uchwalili organizować w niej życie nowoczesne, postępowo. Inicjatywą swoją ogarnęli całą gromadę: tych, co pomaszczą, tych co pozostaną. Wszystko to spisano punkt po punkcie w protokół i w wezwaniu do współzawodnictwa w masowym, zorganizowanym ruchu zachodnim. Wezwanie to postanowiono opublikować 20 maja na krajowym zjeździe delegatów ludowych. Tak też uczyniono. Prasa i radio rozniosły wieści o tym do wszystkich powiatów w Polsce. Wtedy też do biednej, górskiej Naprawy przyjechało kilku niewiadomych osobników, którzy zapewniali chłopów solennie, że w imię patriotyzmu nie powinni oni ani iść, ani jechać na Zachód. Na poparcie swoich słów przytaczali różne odstrasające przykłady.



Typ młodego gospodarza ze starej Naprawy.

— Takich po miastach nazywają reakcją. Reakcja robi na despekt chłopom i robotnikom, mówili zwolennicy ruchu zachodniego.

We wsi zawrzało, jak w kotłach. Słabsi i łatwowierni — poddawali ostrej krytyce słowa Majerka, oraz działalność jego czynniejszych przyjaciół. Byli tacy, którzy jednego dnia wpisywali się z zapałem na listę ochotników, a następnego ze łzami w oczach błagali, żeby ich skreślić. Po namyśle znów się zapisywali i znów prosili o skreślenie.

— Myśmy się tak zawzięli, że piechotą obejdziemy na Śląsk. Kawalek drogi, dokąd się da, podjedziemy na stopniach wagonów, a resztę będziemy pielgrzymować. Ale wypadłoby się zastanowić, czy nie zmarnujemy przez to zbyt dużo czasu?...

— No więc, co robić?

— Może nie wszystkie auta są tak przeciążone pracą dla aprowizacji, żeby któregoś nie można było wypożyczyć w dwudniową podróż?

— Auta są bardzo zajęte.

— Dzień i noc?

— Dzień i noc.

— Ponieważ wożą „łebków“ do Krakowa i załatwiają różne prywatne sprawy...

— Przesada.

— Zastanówmy się lepiej nad tą sprawą.



Naprawa (stara). Typowy dom, w wybudowany przez miejscowych cieślów.

któryś odeprzeć pomówienie o plotki akurat jego roli.

— Kto wam powiedział, że u Tłuka. U nas nijakiej mowy o tym nie było. Godali, ale na końcu wsi.

Dostało się kobietom z końca wsi, bo się nie miał kto ująć za nimi. Szczęśliwy powrót Majerka obalał wszelkie przedwczesne osądy spraw zachodnich, a strachliwców ośmieszał.

— Dojechałem do Bydgoszczy. Tam się prawie formowała grupa przesiedleńcza. Przyłączyłem się do nich i pojechałem nad morze. Zwiedziliśmy kilka powiatów. Spodobało nam się w słupskim. Godomy se, że tu się trza poobiedlać. Tak my i zrobili. Ino jo wrócił po rodzinie. Ale jakbyśmy wyjeżdżali razem w inną okolicę, to już się nie bede brał nad morze.

Obradujący siedzieli wkrąg: Kołodziejczyk, Franek Macioł, stary sołtys Żegleń, Franek Mirek, Walek Mirek, Filipiak, Jasiak Bala, Jakub Bala, Józef Majerek, Władek Kwatera i wielu innych.

Stopniowo gromada rosła. Przychodzili delegaci z odleglejszych ról, przyłączali się do

ale jak się pole sztucznym nawozem doprawi...

W zapale zapominają chwilowo o bezpośrednim celu narady. Rozpoczęto omawiać różne sposoby uprawy ziemi. Żegleń zachwalał użycie maszyn. Macioł mówił o tym, jakim dobrem dla wsi może być elektryczność. Jeden z tych, co to dopiero z Niemiec wracali, podjął temat, poruszony już przez Majerka:

— Prawda jest, że z nad Odry naszych wyrzucili. Taka była ich niemiecka polityka. Zamykali Polaka do konclagra, a gospodarstwo jego oddawali Niemcowi. Wpadła mi w Niemcach do ręki książka o prawie pracy dla polskich robotników. Wydrukowali to w 1942 roku. Stało tam napisane, że Polaka trzeba ino na tyle żywić, żeby mógł pracować.

— Czytałem, wtrąca Tadeusz Kuska: była to książeczka w żółtej okładce ze znakiem „P“.

— Tak, tak...

— W książce tej Niemcy wyraźnie przyznawali, że nad Odrą mieszkali dawni Polacy. Była tam również mowa o tym, że bardzo często polscy robotnicy, sprowadzani do Niemiec do sezonowych prac, pozostawali na



Nowa Naprawa.

— stań się! *)

Zastanowili się. Rada w radę: w zarządzie powiatowym ZSCh., w starostwie, rozmowy z szoferami. Przekonywanie się wzajemne. Wreszcie samopomocowy działacz inż. Stanisław Dziuray oświadcza:

— Zrobimy wszystko, ażeby zdobyć auto. Rację macie. Od czego byłaby ta samopomoc chłopska? Musicie tylko dopuścić do uczestnictwa w delegacji przedstawicieli powiatowej Rady Narodowej, chłopów z innych gmin i rzemieślników z miasteczek.

— Naprawianie uśmiechają się.

— Dobrze — niech jadą.

I wiedzą dlaczego się uśmiechają. Boć jeszcze wczoraj, przedwczoraj najgorętsze namowy i agitacja nie mogły poruszyć masy. A dziś? Jakże się zmieniło. Chłopstwo z okolicznych wsi przychodzi do powiatu z siarczystymi awanturami:

— Jak to, obywatelu starosto? To jest demokratyczna równość, kiedy się samych ino naprawian wyróżnia, aż w gazetach o nich piszą? My też chcemy być pionierami!...

— A któż wam w tym przeszkadza, zapytują: starosta Zak i jego energiczny zastępca, partyzant chłopski Romek Garncarczyk.

— To czemu się naprawianie pierwszy pcha?

— Nie dopuścimy!

— Nasza wieś też sobie nie pozwoli, żeby ją ktoś prześcignął, zaklinają się sułkowiczanie, jaworniczanie, pocimianie, osielczanie i inni.



Na wyteczkę. (Nowa Naprawa)

Codziennie wzrasta liczba zarejestrowanych. Co dzień — setki zgłoszeń. Co dzień zebrania w gminach, organizowanie komitetów przesiedleńczych.

Asfaltową drogą do Krakowa pędzi motocykl Tadeusza Kuski, młodego krakowianina, inteligenta, który przypadkowo zapoznał się z naprawską rzeszą i przyłączył do wsi. W zakurzonego plecaku wiezie urzędowe blankiety potrzebne komitetom przesiedleńczym. Na skórzanym siodelku podskakuje postać jednego ze współorganizatorów ruchu — dawnego majerkowego przyjaciela i sąsiada.

Urzeczywistnienie naprawskiej zapowiedzi stało się sprawą honoru dla całego powiatu. Naprawa widzi, że nie jest sama. Czuje się mocniejsza i pewniejsza siebie. U Agnieszki Maciaszkowej, u Janka i Jakuba Balów, Majerka, Kwatery i Filipiaka i Żeglenia gromadzą się codziennie przybyłe z okolicy. Rozpytywali o sprawy zachodnie, o to jak się to trzeba organizować, jakich formalności dopełnić i wreszcie:

— Wstawcie się, moi piękni, za nami, coby i nas ze sobą wzięli.

— Mamy wielką ochotę.

— Chcielibyśmy się brać na Zachód, ino wy nam dospomożcie.

— Ci sami ludzie, którzy w kraju nie mieli żadnej możliwości szerszej pracy twórczej, wśród obcych stawiali się wzorowymi obywatelami. Stawiali się pionierami cywilizacji, bohaterami postępu.

Daleki obcy świat, ogromniał pracą naszych braci, rósł i przemieniał swoją dzikość i zacofanie w wyrafinowaną nowoczesność.

A u nas? U nas, w rodzinnych wioskach polskich bohaterów pracy, bohaterów pionierstwa i postępowości na emigracji, żyła sobie omszała, stara, zwyczajna bieda znajoma, nieodłączna towarzyska chłopu od kołyski po grób. Próbowali się z nią mocować

jednostki i całe gromady. Były sukcesy, ale zawsze niedostateczne i zawsze częściowe. Przeważały niepowodzenia.

Przywódca samopomocowej grupy organizacyjnej siedział na kamiennej ławie pod ścianą byłego niemieckiego aresztu. Czytał na głos z szeroko rozpostartej gazety, trzymanej krzepko w opalonych na brązowo rękach. Siedzący obok Staszek Macioł i Jasiek Kołodziejczyk przytakiwali głowami o zmierzwiionych włosach.

— To wej wam nawet prawdę pisze. Tak było.

— Jakżeście chcieli, mruknął Kowalcze, wygładzając dostojnym ruchem szeroko rozłożone wąsiska. Z samej naszej Naprawy wyjechała spora grupa dzielnych ludzi.

Nad czerwonymi dachami Prądnika migo-ta popołudniowe słońce młodego czerwca. Wszędzie było ogromnie cicho. Czasem przestukotały gdzieś buty rzadkiego przechodnia. Powiatowe miasteczko było niemal zupełnie wyludnione. Większość Niemców uciekła na zachód. Dopiero przed niewielu dniami przybyła gromadka polskich urzędników — ludzi naogół śmiałych, zdecydowanych na wszystko i świadomych wielu czających się jeszcze niebezpieczeństw. W okolicy uwijały się bandy niemieckich grasantów, uzbrojonych w broń maszynową i granaty. Na drodze, na bocznej uliczce miasteczka lub wsi, w opuszczonym domu — łatwo było natknąć się na minę.

— Obywatelu starosto...

— Obywatelu komendancie...

— Obywatelu prezesie...

Ci pierwsi, którzy tu przyszli z myślą o zakładaniu silnej władzy pod wspólny polski dom, tytułują się gęsto, przemawiają do siebie urzędowym tonem, wydają zarządzenia, które się drukuje i rozlepią następnie na murach kamienic. Czynią to wszystko po to, aby jak najszybciej wytworzyć atmosferę zorganizowanego i uporządkowanego działania władz państwowych, dyscypliny i ładu. Niechaj każdy wie, że jest tu i rządzi powiatem starosta, że czuwa nad wszystkim państwowym polską milicją, że pracują organizacje, które mają swoich prezesów, sekretarzy, a także zwykłych członków.

Urzednicy — przeważnie wczorajsi śląscy robotnicy i inteligenci z głębi kraju — tytułują się i uśmiechają przy tym wesoło, bawi ich nieco obecne położenie. Jeszcze to nie bardzo jest kogo organizować. Uśmiechają się na wspomnienie dziesięciu naprawskich chłopów.

— Prawda, mamy już osadników.

— Kandydatów na osadników. To różnica. Tylko patrzeć, jak bractwo zwieje i narobi w kraju wiatru, że nie ma po co jechać na zachód.

— Zawsze mówiłem, podkreśla swoje stanowisko kierownik miejscowego oddziału PUR, że jedynie element, na który naprawdę możemy liczyć — to repatrianci zza Buga.

Daleko, ponad sto kilometrów stąd — stolica województwa. Rojne miasto, drżące w gorącym warku motorów. Raz na tydzień przyjeżdża stamtąd służbowe auto, przywiezie instrukcje i żywność, może jakiego ochotnika — urzędnika, a zabierze zwięzłe raporty z pola codziennego mozołu i walki.

Daleko, w głębi kraju — gadatliwi, mędrkujący ludzie, którzy mogli by mniej gadać, mniej mędrkować, ale przyjdź tu harować z zaciśniętymi zębami, z mocną wolą ożywienia polskiego serca tej ziemi. Nie, nie przyjdą, odczekają, aż w tych wszystkich Prądnikach i Nysach i Opolach ruszy bujna nawała życia, aż wsie zasiedlą osadnicy i repatrianci, aż wznowi swoją pracę uparte, twarde plemię zachodnich, nadodrzańskich i opolskich Polaków, co trwali na swej ziemi jednakowo polskość miłujący i wierni zawsze, choć uderzały w nich ciosy nielekkie.

W Krakowie, Kielcach, Radomiu, Lublinie, szepczą w zacisznych restauracjach i kawiarniach:

— Słyszał pan? To straszne, co oni wyrabiają z tymi biednymi przesiedleńcami na Zachodzie!...

— W gazetach piszą: „na Zachód”. Panie, końby się śmiać. Nie, nie ma głupich. Komu życie nie miłe, niech sobie jedzie...

— Skandal. Skandal. Nic nie przygotowali. Nic nie zrobili, a ludzi pchają...

Ale w Prądniku nie mieli czasu rozmyślać nad tym, o czym rozprawiali wtedy siedzący na tyłach walczącej armii pionierów — wy-czekiwacze, leniuchy, bojaźliwi i wygodnisie, uważający za „normalne” jedynie takie położenie, w którym kto inny za nich założy, lub uruchomi warsztaty, ruszy pracę w urzędach i instytucjach, podejmie się roli przodownika, gotowego na każdą ofiarę dla osiągnięcia celu...

— No, no, bośmy dawno takiego dobrego nie widzieli.

— Dobrze, ino za dużo w tym wieprzowiny!.. Śmiali się, ale ponieleden chętnieby zaklął z żalością. Ino że nie wypadało. Czuli się samotnieni, oderwani od swoich, od gromady, wydani poniekąd na pastwę dookołnej pustki wsi, grozy pośpiesznie opuszczonych, naogół porzeczanych osiedli, cuchnących ludzkimi i bydłecymi trupami.

— Majerek, czy to nie wyszły nom gadali o piękności Zachodu?

Józef Majerek, szczupły i niskawy, z fajeczką w zębach, z łańcuszkami od zegarka, prze-



Pierwsze żniwa.

W miasteczku Prądnik Jędrzek Kurek i Jan Zygmunt stali w kancelarii wicestarosty, mówili:

— Bardzo słusznie, panie starosto. Musicie wiedzieć co kany mocie. Wiadoma rzecz, że tu nie same Niemcy mieszkali, ale naszych Polaków jest sporo i lotego trzeba spisać na papier gospodarstwo po gospodarstwie. My się tego podejmujemy, bo przecie nie będziemy się tu waleśać jak wędruści.

— Przy okazji chcemy się wybrać wioskę tako, coby nom sie nadała na obsiedlenie. Po to my tu przyjechali.

Od wsi do wsi, od dworu do dworu wędrowali naprawscy organizatorzy. Nie wszyscy to ta już tak pięknie pisali, ale sprawdzali wszystko z urzędową dokładnością, „brali na papier”. Po pracy zdawali raporty w urzędzie, a potem szli odpoczywać do swej tymczasowej kwatery w niedawnym mieszkaniu niemieckiego naczelnika prądnickiego aresztu.

Marysia Kucala, jedyna kobieta, jaka była w grupie, prowadziła im kuchnię. Jadali dwa razy dziennie ziemniaki z nieokraszoną kapustą. Śmiali się z tego jedzenia!

— Co będzie na wieczerek?

— Kapusta z ziemniakami.

— A na śniadanie?

— Ziemniaki z kapustą.

— O, to dobrze, że będzie jakaś kawa.

Wysokie, rozłożyste młode chłopisko, Jędrzek Kurek, drażnił kolegów dobrodusznymi żartami.

— Aleście się dorwali do jedzenia, aż wam sie uszy trzęsą.

wieszonym od jednej kieszeni kamizelki do drugiej, co dodawało mu powagi, bo wyglądał z tym wszystkim na wójta, choć nigdy nim nie był, oraz w ciemnych, przywaskich spodniach w harmonijkę, patrzył iskrzącymi się oczami w twarze sąsiadów i towarzyszy. Zapytywał:

— Czy tu nie ładnie? Ziemia brzydka? Słońce nie świeci?

— Świeci, ale...

— A my są chłopcy, czy nie — chłopcy?

Popierając Majerka, Kołodziejczyk przywoz-dził wszystkim na pamięć uchwały, podjęte w kwaterowym ogrodzie i w starej naprawskiej szkole:

— Jedyń tam odrazu było mówione, że trzeba być gotowym na walkę.

— Musimy zorganizować osiedla dla kilkuset rodzin.

Lekki zmierzch opada na prądnickie ulice. Gdzieś w głębi niebieskiej studni, której dno przybliży się wieczorem ku ziemi, zamigotały wybliski świeżych gwiazd.

— Majerek, a jak... nasi... nie przyjadą?...

— Przyjadą.

— A jak się złączą i nie...

— Albo jest Samopomoc Chłopska, albo jej nie ma! — ucieka się Majerek do swego sakramentalnego zaklęcia, któremu przypisuje ostatnio dużą moc.

*) Fragmenty książki p. t. „Nowa Naprawa”, która ukaże się niebawem nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”.



2 września 1945 Nowa Naprawa obchodziła uroczystość swego pierwszego święta żniwnego na ziemi śląskiej. Wieczanie wieńca dożynkowego gospodarzowi powiatu ob. Wł. Czechowiczowi.

STEFAN LICHANSKI

Na pograniczu dwu stylów

(o poezji Jana Baranowicza)

Leżą przede mną dwie książki — młodego chłopskiego poety: „Pieśń o jaworowym krzaku” i „Chrystus w zaułku”, książki, z których już pierwsza zwróciła na siebie uwagę krytyki. Wrócono jeszcze przed wojną Janowi Baranowiczowi, że odegra poważną rolę w naszym piśmiennictwie.

Ale prorocтва są zawsze tylko prorocтва mi a poezja poezją. Wróćmy więc lepiej do poezji:

A taka zaś ma wola w sprawach
gospodarki: —
Starszy będzie dziedziczył składy

od przydola
aż po ścieżkę u brzeziny. Niezgorzta to rola,
jest parę stówek w kasie, w lasku sumce

rosną;
postawi se gazdostwa, kiej powieje wiosna.
Młodszy weźmie zagrodę, sad i dział

nad strugą.
Niech się dorabia szczęśliw. Ożyję i ugor
spokładu w żytnie staja; wytnie krze jałowe.
Córce dwie móg na dworskim przeznaczam

i krowę;
grunt tłusty, kłót nie będzie ten, kto
przyjdzie po nią.

Tak mówi umierający ojciec w jednym z najlepszych wierszy Baranowicza p. t. „Testament”. Zwykła to mowa, zrytmizowana tylko i składniowo bardziej uporządkowana niż to bywa w codziennej rozmowie. Baranowicz ma dar widzenia poezji tkwiącej w rzeczach, poezji wyrastającej z mola i trudności pospolitego dnia i dlatego tak pięknie brzmi u niego początek wiersza „Oraczka”:

Szorstkaś jak konar wiązu, śniadaś
od gorąca,
Maryno Wielgusowca, żytnisko orząca —

a o ileż słabiej wypadają ostatnie dwuwiersze tego utworu, w których poeta chce formułować swoją chłopsko-patriotyczną ideologię.

Zdanie Baranowicza — to zdanie mowy potocznej, opowiadające jak najprościej i jak najwięcej o rzeczach i zdarzeniach, a łamiące się niejednokrotnie, gdy autor stara się zamknąć w nie jakieś bardziej abstrakcyjne przemyslenie. Zestawmy ze sobą takie wiersze jak „Testament”, „Oraczka”, „Babcia”, „Poł”, surowe, proste a jakże trafne z taką np. „Pieśnią osadników” — efektywną niewątpliwie, ale przeładowaną metaforami zbyt kunsztownymi w zamierzeniu a teatralnie patetycznymi w swym działaniu estetycznym. Bo też w tamtych utworach autor poprzestaje na opisie (z wyjątkiem zakończenia „Oraczki”), w tym ostatnim wyklada swoje credo polityczno-społeczne.

I w jeszcze jednym wypadku mowa Baranowicza staje się poetycko czysta i jasna: wtedy, gdy przechodzi w śpiew:

Królowo Amelska —
na sarnowcach i zielkach
rozdwoi pastusze głosy.

Królowo Wszystkich Świętych —
ślepych, chorych, wyklętych
mlekiem pieczyoty wzmocnij.

Królowo bez zmyzy Poczęta —
przy niebieskich panietach
posadź świętki, strzygi i zmyzy.

Królowo Pokoju —
od ziemiostrząsów, moru, boju
zachowaj słomiane chutory.
(„Litania loretańska”),

albo:
Gdzie lipa pachnąca
w atr gąłzki trąca;
zieleni się ląka
w błyskaniach męsiąca.

Zieleni się ląka
cień się po niej błąka.
Kawaler raniony
wyczekuje dzionka.
(„Tam na tej łące”).

Krystaliczna czystość tych wierszy przywodzi na myśl tak niedocenianą dzisiaj a tak bardzo własną i piękną lirykę Lenartowicza. Źródło tych poezji jest to samo: pieśń ludowa, ale gdy Lenartowicz góruje wyrażaniem artystycznym w rozwijaniu wątków tej pieśni, Baranowicz podaje z większą daleko wiernością, bez przestylizowań, jej ton właściwy i naturalną barwę uczuciową („Ballada o smutnej pannie”, „Szerokie stajania”, „Pieśń sieroty”, „Hej pod Krakowem” i inne z tegoż cyklu w tomie „Chrystus w zaułku”).

A zwróćmy uwagę na jeszcze jedno: Baranowicz umie komponować piosenki i obrazki oraz nowe wiersze, ale inne odmiany

poezji, jak np. liryka patetyczno-programowa („Pieśń osadników”) lub miłosna wzbudzają wrażenie „literackości”, dość często zatracając o szablon.

A teraz zastanówmy się nad nowelą poetycką Baranowicza. Znowu uderzyć tu musi bardzo szeroka skala osiągnięć poetyckich. Oto uwspółcześniona redakcja starej bajki o zbrodniarzu mordującym swoje żony za próby odkrycia jego ponurych tajemnic („Gadka”), oto jakże ujmująca w swej prostocie opowiadka „Figura”, w której autor wykorzystuje ludowe wierzenie w pokutę pośmiertną tych, którzy zesłali ze świata w ciężkim grzechu, oto wzruszająca tonem żywej i głębokiej religijności ballada „Maddonna Gidelska”. Wszystkie te utwory mają w sobie coś retrospektywnego. Jak „Pamiętki Soplicy” zamknęły w sobie barwny i bogaty obraz przeszłego życia szlachty, tak Baranowicz w swoich najlepszych nowelkach wierszowanych zamyka mijający już świat chłopski, świat dawnych obyczajów, wierzeń i mitów, który musi ustąpić pod naciskiem nowej rzeczywistości.

Jakże różnią się od omawianych powyżej utwory takie jak np. „Pieśń o jaworowym krzaku”, rażąca przesadą makabrycznością (zamordowanie przez matkę własnego dziecka i ludożerstwo) czy „Urzędniczka”, która jest ujętym w formę wierszową dość banalnym opowiadaniem z tezą społeczną. Te różnice między utworami o walorze czysto estetycznym a poruszającym i bardziej współczesne zagadnienia społeczne, mają swoją charakterystyczną wymowę.

Baranowicz jest poetą z pogranicza: reprezentuje on przejście od poezji ludowej do tzw. bezprzymiotnikowej. Jakaż jest między nimi różnica? Najprościej sprawę ujmując wygląda powyższe zagadnienie następująco: poezja ludowa utrwała fakt, który poeta uznał za godny upamiętnienia. Dobór środków artystycznych jest w takim wypadku bardzo przypadkowy i w zupełności zależny od upodobań estetycznych autora: ten sam temat w tym samym nawet ujęciu uuciowym może być wyrażony w śpiewce tanecznej lub w utworze układanym pod melodię kościelnej pieśni. Poezja podkreśla tu tylko wyjątkowość faktu ale go nie przemienia, nie nadaje mu żadnych znaczeń nowych — przynajmniej jeśli chodzi o światowe zamierzenie autora. Ów charakterystyczny dla poezji estetycznej przedział między mową poetycką a mową potoczną nie istnieje — jako założenie programowe — w poezji ludowej. Punktem wyjścia jest tu zawsze fakt realny, życie potoczne — a nie sztuka i jej reguły.

Baranowicz potrafi wykorzystać swoją kulturę literacką dla pisarstwa rozumianego ludowo i dlatego podnosi je na poziom pełnego artysty. Gdzie jednak próbuje realizować zamierzenia czysto estetyczne lub wykorzystać literacko problemy ideologiczne współczesności — poetę zawodzi jego instrumenty wypowiedzi. Jest to nie tylko prywatna tragedia Baranowicza, jest to tragedia wszelkiej kultury ludowej, która osiąga szczyt swego rozwoju i dlatego właśnie musi się przełamać, musi zrezygnować ze swej samodzielności włączając się jako jedno z ogniw w jakąś całość kulturalną wyższego rzędu. Rys charakterystyczny tej przemiany — to przejście od naiwnego myślenia obrazami do myślenia pojęciami. I tu właśnie jest tragiczny punkt twórczości Baranowicza: ten sam poeta, który jako epik chłopskiego dnia powszedniego i chłopski śpiewak daje utwory o nieprzeciętnej wartości — występując jako ideolog postępowego odłamu swojej klasy załamuje się często jako artysta. Przyjął nowy światopogląd — to po prostu kwestia rozumowania; ale umiejętność dania wyrazu temu światopoglądowi wymaga już czegoś więcej: zmian w sposobie odczuwania, przeobrażeń życia psychicznego — a to jest o wiele trudniejsze.

Poezja Baranowicza jest nie tylko nader oryginalnym i o nieprzeciętnym znaczeniu osiągnięciem artystycznym, ale jest także dokumentem przełomu kulturalnego, do którego dojrzewa polska wieś. W jej nawet potknięciach i załamaniach odzwierciedla się moment historyczny, wypowiada się twarde walka o przejście od jednego typu artysty do innego, bardziej trudnego i skomplikowanego. Warto, żeby do książek poetyckich Baranowicza wrócili przede wszystkim amatorzy nowatorstw i literackich burz w szklance wody zwanych szumnie „przełomami” — mogliby bowiem znaleźć u młodego poety śląskiego sporo materiału do przemyśleń o zasadniczym znaczeniu.

STANISŁAW PIĘTAK

Na warcie

Świt już blisko, dlatego tak ogromna cisza —
W ranny sen chyli się zielona wieś i zwiś
tylko księżyc, który u cieni chmur na niebie
złote róże z ogródków ukrywa dla siebie.

Jaki spokój! Dziewczyny, co ze mną na warcie
wyszły, niby śpią, lecz oczy mają otwarte.
Gwiazdy i rosa płyną po nich w białym szumie.
Pod laską cieni miłość czy śmierć śnią w ech tłumie.

Zańdarmi już na objazd nie wrócą tej nocy.
Wsi rodzinnej zmroczniałe w pięknie smutnym oczy
nie dają iść spać jednak — i na drodze stając,
by w skurczu serca patrzeć na dali wyraje!

Krzyż wśród lip mieni się jak promień w płynie sinym.
Kościół za księżcem w mroki zszedł, więc dziewczyny
naraz rozbudzone w zlocie czarnym przez mgnienie
plakały. Czajki lek ich poniosły nad ziemię.

Ożywa świat piaków, krople krwi mkną na wschodzie,
a ja odejść nie nie mogę stąd, ech pytam w wodzie...
O wy, co za sto czy tysiąc lat żyć będziecie

tutaj w tej wiosce, wspomnijcie mnie. Ja na świecie
na wiele zdarzeń miałem serce nieulekłe,
ale w tę noc ono od ciszy piękna jętko...

— To wam, kumie, mówię: — od wściekłego psa i od złego sąsiada zachowaj nas Panie.

— Jedną nogą stoi nad grobem i jeszcze się najeść nie może. Myśli bestia, że z sobą do trumny weźmie czy jak.

— Nie dalej, jak onegdaj zajełem mu bydło na ścierniówce. Jakby człek nie pilnował, sterzałby do imentu.

— Ja — to, wicie kumie, ledwo już cierpię. Nie daj Bóg, jak się miarka przebierze.

— Dobrzeby ta było, żeby się obeszło bez bitki. Jeni obraza boska a pośmiewisko ludzkie. Ale jak nie poradzi — trza się będzie i do kija wziąć.

— Przecież mię od smarkacza znać. Wicie, że się nie lubię odgrażać. Milsze mi dobre słowo jak swary. Ale — psakrew! — swojego nie dam. Co rok mi się głębiej w grunt zaorywuje. Aniby się spodział jakby mnie i dzieciśka z torbami puścił.

— Skąd się ta taką chciwość w człeku na cudze weźmie?

— Dopust boży i tyle. Wypchnąłem dziewuchę z motyka — niechby zgarnęła bryły z miedzy. To ją odegnął, spralby, żeby nie uciekła.

— Widzę, że po dobróci z takim nie wskóra. Posłałem po urząd. Dosięgli zastodoła. Jasiek, kuraśny podrostek, wystrzelił im na przeciw.

— Pójdźcie, tata raźniej — taksatorzy przyšli.

— Ano to i lepiej. Raz się to wreszcie skończy. Idź mi chłopak do Barszcza i zapowiedz — niech się zbiera — bom mu sprowadził urzędników.

— Tyle się człowiek nauczywa na tym padole — kontynuował witać się z przysiężnymi: z panem się żyj, z żydem się targuj — sąsiada nie spuszcza z ślepi. Utrapienie nie życie.

Pogwarzali o rozmiarach szkody, gdy Jasiek przytachnął od sąsiada, zdyszany i wzruszony zająciem:

— Zaraz wychodzi — rzekł.

— No to i my możemy się pchać po odrobinie.

Wychynęli z zagrody ku szachownicy składów. Zaorana miedza leżała za stodołami na czwartym, czy piątym stajonku.

Syn — ciekawy widowiska, chyłkiem skradł się za nimi. Ale ojciec wstrzymał go w zapędzie.

— Jasiek — a ty gdzie? Wracaj mi zaraz do chałupy. Hala smętek! — tam cię jeszcze kroćsetni nie widzieli.

Chłopak, ofuknięty przy obcych, cofnął się zawstydzony.

Szli gawędząc. Jedną z córek Kwaśniaka przyłączyła się do nich. Wychylił się sąsiad winowajca. Równolegle po własnej drodze stąpali, spluwając przed się szczydrze. — nie wiedzieć z irytacji czy ze zwyczaj.

Kwaśniaczka patrzyła na ślad za odchodzącymi.

JAN BARANOWICZ

Dwie burze

(opowiadanie)

Prawdę gadał wczoraj Felin Knop, że się coś — gdzieś dołem kopci i kto wie czy się na deszcz nie zaniesie. Kamera! — chłop przecie nie wróż a akuratnie przepowiedział. Niby ten święty prorok z biblij. Hoho! — to co tego nalało: — wnetki byś mógł w szafliku pływać. Do pokładaczki się nie da wyjechać rychłej jak za parę dni. Ano niechże, ostudzi się kapkę ziemia, bo już z niej para buchala jak nieprzymierając z garnka, kiedy baba ziemniaki odcedza. Ziemia jak człowiek — też musi mieć swoje wytchnienie.

Jedrus Kwaśniak spuszczał wodę z bruzd i kolein, przegadując do siebie jak to miał we zwyczaj. Burza narobiła niemało szkody. Kawalkami zboże leżało pokotem jakbyś je sierpem podciął. Szczęściem zniwa zaczęły się wcześniej niż zwykle. Zbierze się, nim sprzerastać zdola. Bóg strzegł, że gradem nie sypało.

W lasku wielgachny rosochaty chojar rozwalil się na podścielisku igliwia, ukrecony jak wić w połowie pnia. Jakby jaki wielkolud ucałił krzepko muskularnymi łapskami wierzchoły i pociągnął k'sobie.

Niewiele dalej gruchnął drugi, warstwicę wierzchowiska, jak ścianę wytrypując korzeniami.

— Ale — to nie żarty — kiwał Jędrzej w zadziwieniu głową. — Niby toto migiem przeparsło, ale strapienia ludziskom narobiło że hej.

Ukrątnawszy się co zgrubsza z robotą, wracał gospodarską dróżką ku zagrodzie. Gdzieś koło przydola natknął się na niego sąsiad Swarniowski w takuteńskiej jak on potrzebie wygnany w pole.

— Widzieliście kumie, jak wam Barszcz zorał miedzę?

— Dy się — psie mięso — nażreć nie może. Przykrawa a przykrawa. Rychło widnął jak mi na zagon wlezie.

— Takta i u mnie robi, tak. Już haw myśle taksatorów wyciągać.

Właśnie się spiesze. Mieli do mnie przyjść po obiedzie. — Jeszczem po nich wczoraj dziewuchę wysłał.

— To się chyba wróć: Moja szkoda leży przy waszej — otaksują za jedną drogą.

Naprzelał po uwrociach przeszedł się na kwaśniakówkę i wspólnie już zdążali ku chałupom.

K O L U M N A M Ł O D Y C H

Zakończenie pierwszej wojny światowej przyniosło bujny rozkwit poezji, wiarogłębko wiedzy w życie literackie młode pokolenie — bardzo pewne siebie i nastawione zdecydowanie wrogo do reprezentantów minionego okresu. Obecnie walki literackie toczą się głównie między ludźmi generacji międzywojennej, najmłodsi przeważnie nawiązują do istniejącej tradycji literackiej. Ten brak aktywności i rozmachu jest zastanawiający. Krakowska „Walka”, zlikwidowana niestety bardzo szybko, skupiła koło siebie uczniów Przybosa, na terenie Lublina zmanifestowała swą działalność grupa młodych poetów spod znaku Czechowicza, najciekawiej zapowiadająca się grupa warszawska, też zresztą mocno tkwiąca w tradycjach poetyckich dwudziestolecia, została okrutnie przetrzebiona powstaniem, podczas którego zginęło kilku jej członków — i to rokujących najlepsze nadzieje.

W latach dwudziestych „starzy” musieli bronić się przed „młodymi”. Dziś sytuacja jest zupełnie inna: trzeba po prostu wyszukiwać ze świecą w rękę „młodych” i zachęcać ich do odwagi, do samodzielności, do zrywania ze starymi wzorami i szukania własnych dróg. Sytuacja wręcz paradoksalna — ale nie ma na to rady: musimy sami zadbać o wychowanie sobie „przeciwników”.

Rzecz uderzającą jest również ideologiczna bezsilność najmłodszych. Aktualny temat, palące zagadnienie współczesne u nicestwia u nich literacka maniera z przed wrześniejących czasów. Znaczący to, że aktualne tematy i zagadnienia są dla młodych obojętne, co nie tkwi w nich, co przychodzi z zewnątrz. Nio tu nie pomagają oficjalne deklaracje, skoro utwory „nie wychodzą”. Myślimy, zdobywczej twórczej myśli nie zastąpi wierność wobec wyznawanego programu.

Troska, spowodowana tym stanem rzeczy, skłania nas do wyszukiwania w materiale redakcyjnym wszystkiego, co jest bodaj zapowiedzią, bodaj interesującą próbą „Kolumna młodych” nie ma na celu reprezentowania materiału literackiego o bezspornych wartościach, jest to raczej stworzenie dla młodych literatów okazji do doświadczenia swych sił.

Z prób, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze, wrażenie największej świeżości i bezpośredniości robią utwory Leszka Golińskiego. Sporo w nich przeobrażeń i błędów formalnych (tymy gramatyczne, np.: „regulamin” — „egzamin”), ale jest w nich zdrowy nawrót do autentyczności tematycznej, odrzucenie lirycznego banału wierszyków o wiosnie i słowikach.

O ile Goliński zbliża się do autentyzmu od strony postawy pisarskiej, to Oleksik, podchwytując raczej styl wypowiedzi autentyzmu. Ciekawa niewątpliwie próba jest wiersz „Jan Kochanowski w kaplicy kościoła w Zwoleniu”, konfrontujący największego reprezentanta „sielskiej” tradycji naszej poezji z rzeczywistością polską lat okupacyjnych.

Trzeci z naszych młodych poetów Tadeusz Muras próbuje skojarzyć ludowate matki z awangardową formą wypowiedzi. Utwory Murasa są dość „literackie”, ale nie pozbawione ambicji szukania własnych dróg. W każdym bądź razie jako próby zasługują na uwagę.

TADEUSZ MURAS.

Jesień pasturzy

Pokulone krowy wybierały na ugorze resztki lata.

— Może pójdą w siewy —

e, zawróci je wiatr i deszczem ochłodzi.

— Zanim w pachnącej drzemką między wiatrem mi oczy zadmuchi.

może i jaskółka zdąży stuknąć w daszek mej czapki

naciągniętej głęboko na uszy

i kreśląc ostatnie koła przy ziemi odleci na zachód.

Tymczasem byliczko napróżno oplakujesz lato —

Zbadyła jesień przypadła mokradła do ziemi

i ledwie drzewa darzą ją wiązankami złotych liści,

Iecz i te już strąca zgorzkniała —

Jeśli trochę ciepła skrytego masz między to się przytulę do ciebie,

a ty mi parasol krwawnika nachyl,

żeby mnie deszcz nie zasiekł.

Garść orzechowych macierzanek podsympiesz pod głowę

szemrzących ciepłą opowieść

— o sennym zaciszu pod miedzą —

— o wiosnie —

aż zasną.

TADEUSZ MURAS.

Młodość snem natchniona

Od dalekich krewnych powracająca babusia w welnianym fartuchu przyniesła jego radość dziecięcą. Zmówiona koronka wsunęła mu ją w rozchylone do zachwyty drobne jak groszek paluszki, i idąc wiejską drogą dalej, coraz to inne wypruwali ze stana młotliwy, których każda zdrowaśka ze skostniałych starością rąk, wypuszczana była w intencję jego młodości.

Ale ón całowany przez gęsi na rowie, nie rachował gubionych po drodze kroków. Rachował mijane dachami bocieńce i słońca chwilejące się w zawiasach u okien, a już w stojącej przy drodze kłacz ze żrebicem, wylupiał cały zachwyt końskości.

Ze szeleszczących do siebie topoli przedrzeźniały się wilgi przekorne, naprzemian przekreślając drogę łukiem, wygięty jak biegun kołyski, która zawieszona w przestrzeni, przypominała jeszcze pierś matczyną.

Z porowin uśmiechały się tysiącem wczorajszych wspomnień mleczne dmuchawce. — Tylko z ukrycia wierzby spróchniałej, sączyła się w ląkę cieniutka struga os, tylko kaczęce nad wodą, wychynające głuche dudnienie mostu, lekko mąciły odcięcie nieba...

Zapomniana odległość między nim a staru.

LESZEK GOLIŃSKI

Matce

Jeden namiot nas chronił przed słońcem

Na stole była świeczka i dwie sterty gazet;

A zaraz po kolacji czytaliśmy razem „Wieś”, „Kuzniec” i tyle, tyle innych jesi-

Pamiętasz nasze spory? Każdy z nas się uczył:

Wszelkświat i luźna musztra, lud i regular-

Wrócił się z odprawy — jutro był egzamin.

Gwiazdy gasły i kółko śpiewało nad Radu-

Na dworze syczał kłoch, zmieniając się warty,

A nam trudno, jak trudno z taką głową

Mówiłeś o minionych dniach leśnych i żno-

Wróciłaś w całym blasku i świeżym kolorze

Pamiętasz dni zmęczone, upalne, mozolne

Nocne krótkie i zimne, przegwarzone do dnia?

Trębaczu, graj pobudkę! Wstaje jutrzeń

Rano czeka nas wykład o reformie rolnej.

LESZEK GOLIŃSKI

Matce

Masz zmarszczone, poczerwiałe ręce
Dyszysz ciężko, krąjąc żłty chleb
Słońce z zimnych już odpływa nieb
Nie będziemy dzisiaj kopać więcej...

Późna jesień, dom wieczorem gwarany
Błyszczą okna, jutro będzie śnieg;
Na urwisty, wydeptany brzeg
Zaleknione przybiegają sarny...

Dosyć, matko, do wieczoru siadać.
Ziemia pachnie z umęczonych rąk;
Za oknami kołysze się kłon
Za oknami noc usiadła blada. —

Gwiazdy świecą, wieczór się błękitni
Jutro rano trzeba wstanie wstać...

Dosyć, matko! uszyscy poszli spać,
Sen już czeka, jak świeży chleb żłty.

KLEMENS OLEKSIK

Jan Kochanowski

w kaplicy kościoła w Zwoleniu

W bocznej kaplicy kościoła w Zwoleniu
w szarej, odartej z tynku przez czas wojny
stół w ołtarzu święty Antoni,
a ze ścian patrzy Jan. Strojny
w żabot siwy od kurzu i czasu
śpiewa wraz z tłumem psalmy niedzielne.
Czasem — kiedy się zdaje, że zasnął
wychodzi z kaplicy i połą drogą
idzie do swego Czarnolasu.

O czym szumią te drzewa takie gwarne:
wierzby, lipy strzykowskie i sosny?

— o Janie, Janie

pocośmy wyrosły

Jeśli nie możemy skryć w swojej gestwinie
pryzanta, co ranny pod Policzną — zginął

I tyle mogił przy drodze

wita cię ciszą bezludną,

kiedy przez wioskę przechodzisz

wymarłą, cichą, ulicą.

O wsi spokojna, wsi moja wesoła —
kto cię w męczeństwo tak wielkie powołał?

Kto pol zamienił na krew?

— — — — —

Wróca powoli Jan z Czarnolasu

przez złote pola i miedze.

Tam — krwawe łuny nad zachodem gasną

i wiatr swą gędbę przedzie...

— — — — —

Koło lip o rozłożystych konarach

w bocznej kaplicy

(spowiadają kanonicy).

A kaplica bardzo stara.

Na ścianie, wysoko, Jan Kochanowski

patrzy w stronę swojej wioski.

Pachną nieszpory wonią kadzideł.

Ślucha mistrz Jan, jak śpiewają psalmy.

A wśród złotych skrzydeł

aniołków z drewnianego szczytu ołtarza

król Dawid gra na harfie. 1943.

— Żeby się jeno nie pokłękali — zwróciła się do córek. Ociec nagły jak siarka, a i tamtemu nic nie brakuje.

— A niech mu ta wysypia trochę. Może się choć tak ustatkuje i śdzie.

Nie widziała się jej nijak ta córczyna aprobatą, ale nie rzekła nie. Wyprowadzała krowy z obory.

— No Jasiek — trzecia godzina. Pora do wyganiać. Spinaczki zabral ze sobą?

Uhm — kiwnął głową potakująco. Wgarzał krom razowa do kieszeni marynarki, książkę pod pachę i ruszył w pole. Popędzała go ciekawość, jak też tam ojciec załatwi spór z sąsiadem.

Nie wiele się jednak dowiedział. Starzy oglądali miedzę w półsłówkach. Skrzętnie, systematycznie, krok po kroku. Dopiero, gdy odbił o spore stajanie, dognały go zwichrzone głosy. Zastrącił chudobę na okrajkę, usiłując słuchem chwycić coś — niecoś. Niewiele ta tego ulowił. Zbyt była odległość — tłumila słowa zwady. Więc zniechęcony pognał gadzinę dalej.

A w trakcie tego na między wszczął się harmider. Od słowa do słowa, od przymówek do przymówek — i przeciwnicy ucapili się za orzydła.

— Myślisz — psiaakrew dziadu, że ci będę cagle pobażał. Ja się hamuję jak mogę, a ty se mos gdzieś po śliwkach — warczał Kwaśniak, wodząc sąsiada po zagonach.

— Tata nie bijcie się — lamentowała przelektła Wikta.

— Cicho, nie wrzeszcz. Oni se tu krzywdy nie robią — mitygował ją taksator Szafaran.

— Jak nie mają rozumu, niech się poszturchają kapkę — mruczał. Zawsze taki sport na zdrowie wyjdzie.

Oni, szepceni z sobą w jedno, wodzili się za lby jak dwa byki. Ślizgali się na mokrych skibach, usiłując jeden nad drugim odnieść przewagę. Spychali się z zagonów w bruzdy, grzęzli buciurami w ziemne ciasto. Jednak szala zwycięstwa długo nie przechylała się na żadną stronę. Utaraszona ziemia wyglądała jak rykowisko.

Wreszcie Kwaśniak, krzepszy snąc w barkach prasnął Barszcza do przetrzyny, aż się błoto rozczapierzyło.

— Barszczu, nie daj się — podjudzali taksatorzy pół-żartem, pół-serio.

Ów zaś szamotał się ciężko, sapiąc i zachłystując się ziemią. Przeciwnik przygniatał go brzemieniem jak chojar trząsnęty burzą o ziemi. To też nie podołał przewadze. Słabł i siał na oczach widzów, aż omdlał z wysilenia. — Wtedy pofolgował mu sam Kwaśniak. Zerwał się z gleby i splunął z odrazą:

— Tfu — do czego to, psiaamercha, doprowadził. Na starość człowiek szparuje na piekło.

— Zapłacisz mi ty za to w sądzie. Drogo cię będzie kosztowało.

Barszcz groził, jednak zdecydowanie brał kierunek ku chałupie. — Kwaśniak słowami z pod ręki, zachęcał go do pośpiechu. — Jednak widać było, że mu nie w smak cała ta zwada. Jak nagle wybuchł tak i ostygł. Stał między taksatorami zgaszony, ze zwieszoną głową. Wstyd mu twarz palił za ten porów nieszczesny.

— Krocetni nadali i Barszcza. Zamotałem się w awanturę i jeszcze po sześćdziesiątce kątów po sądach wycierał będę.

— Nie zaskarży, choć się odgrza — pocieszał. Dużo gada, ale i na tem się skończy. Swoją drogą — kumie — racja po waszej stronie. Starosiał przecie miedzę jak pies dziadowskie portki. Ledwo się na ogonku trzyma. Nawet trawy użąć nie będzie można czy krowy popaść.

— Trza komiśję sprowadzić, albo wbić pale. Jedyny jeszcze ratunek.

Raz-em to wbił! Przyjdzie jak ten dzik w nocy i łapskami wytyrpie. Trzebaby z patykiem stróżować.

— A to wam powiem: z takim to ani tak, ani siak — wtrącił Śwarniowski. Widzieliście i u mnie. Ma się pomyśloniek, że to nie ciek a stado jaźwców po miedzy przeszło.

Zanurzyli się w półcień zagrody. U przystawki pożegnali radnych. Kwaśniaczka

czekała już z córkami u progu sieni, niepokojna i zatroskana.

— No i cóżście wskórali?

— Ano widzisz? — pokazał rozerwana na piersiach koszulę.

— Matko siedmiu boleści! — załamała gwałtownie ręce — toście się bili?

— Napaliło mnie i tyle — ruszył bezradnie ramionami.

Wesł do izby i opadł na stoliku przygnębieni. Groza procesu pelzała zmorą przed ich stopami. A akurat w porę. Dziewucha się miała wydawać po żniwach. W związku z tym, rozchody się gotowały nie lada. W chałupie się też nie rozwalalo. Dzieci hurma a ziemi skąpo, i to wyjąłowej piachami.

Jakież tu pchać pieniądze w adwokatowskie kieszenie?

— Narwanemu wszędy źle — piła stara pod adresem męża. Nawarzy piwa, a ty pij potem — choćby ci przez gardło przeleć nie mogło.

— Nie gderalibyscie. Z byle łajna robicie choć co — powstała córka. Potulniejszy się stanie teraz, kiedy pięć powachał.

— Tak — ciś — tak — może akurat tyle wyjdzie z tej bijatyki co i z burzy w południe: zahuczala i przesła. Jeno trochę błota zostawiła po sobie.

Jan Baranowicz.

Bimber, bimberek, bimbereczek

Rok 1943. Jako inkasent Komitetu Opieki Społecznej zbieram składki i dary na rzecz ofiar terroru hitlerowskiego. Jestem właśnie w szynku. Pije sześciu asów, głośnych na okolicę kupców paskarzy. Są już po którejś tam ćwiartce, pod lekkim gazem, w stanie kiedy najłatwiej przychodzi być rzecznym, litościwym, wylanym. Chłopy same „swoje” — wojskowe, po przysiedze. Mówię więc śmiało o co chodzi, że komitet utrzymuje dziesiątki wdów i sierot po zamordowanych, po gnijących w obozach i więzieniach. Żonę gługuje szumnymi frazesami. Tracam o polskość, o ludzkość — o Boga. Przez moment wydaje mi się, że łów będzie obfity — w oczach słuchaczy błyszczy lzy. Więc dajcie... Dają — ociągając się poglądając po sobie dają — po... piątce. Po piątce. Ci sami, którzy na wojnie zarabiali mnogie tysiące, ci sami, którzy za libację w restauracjach płacą rachunek idący w tysiące — dają po... piątce. Psiakrew.

Ten sam rok. Jeden z moich najbliższych kolegów i współpracowników konspiracyjnych, dzielny chłop, kapral, instruktor oddziałów partyzanckich — na przyjęciu „odpustowym” — u kolegów upija się i nieprzystojnie przyznaje się do udziału w napadzie na transport wojskowy. Bydłę jakieś usłużnie donosi i za tydzień czytamy rozpaczliwy przejęty nazwisko jego na liście zakładników.

Rok 1944. Ta sama historia. Drugi mój serdeczny druh, wyjątkowo odważny i aktywny działacz niepodległościowy chłopie po pijanemu to i owo w obecności nieznanych osób. Tego samego tygodnia ginie, a z nim kilku innych.

Rok 1946. Walące się budzisko zdala od drogi promienieje smugą wrzawy. Zobaczymy oknem co się tam dzieje. Pod blachą ogień płonie, jak w piekle. Na kuchni olbrzymi kocioł od którego biega zygakiem rurki ku stojącej opodal beczce i przechodząc przez nią wystają z drugiej strony. Z wylotu cieknie do podstawionej blaszanki boski nektar — samogon.

Przy beczce w pozycjach siedzących leżących cupi czterech ludzi próbując smaku i mocy ciekącej zarazy. Rezultat „próby” dosyć zwięzły — wszyscy, między nimi dwóch dzieciaków, spici tarzają się po ziemi szarpani torsjami i czkawką. Późno w noc rozchodzą się, a rano ludzie znajdują jednego z nich skostniałego na śmieci. Młody, przystojny, głośny na okolicę „kzok” — bitnik, skończył nędznie bujny żywot w ową styczniową noc.

Szynk. Na zabłoconej podłodze leży coś w rodzaju człowieka. Przez dziurę w czapie wylała kosmyki zmierzchnych klaków — z butów brudne palce. Rozrzucona kurtka odslania brzuch i piersi pokryte czymś, co dopiero przy bliźszej fantazji można za koszulę. Po rozchylstancie, kudłatej piersi płaczą się wszy. Duże, pulchne. Bogate wszy u biednego chłopca — śmieje się ktoś i opowiada, że u leżącego w domu czworo dzieci, a wszystkie bez koszul — zimują nago na piecu. Za to on sam miewa regularnie co tydzień periody pijactwa.

„PIJOKOWI PON BÓG DO”

Na temat bimbru i pijaństwa w ogóle napisano już całe traktaty i poematy. Cokolwiek by jednak o tym powiedziano wszystko to za mało. Albowiem wszystko co pozostaje bez skutku.

Ponad wsia niesie się stara jak chłopci i obowiązująca pieśń:

Pijali pijali ci nasi łojcowie,
i my też pijemy bo my ik synowie.

Holdując tej prostej filozofii pije chłop od kolebki po grób — na chrzcinach, na weselu, na pogrzebie. Wódka jak smród za trumną ciągnie się poprzez całe życie, towarzysząc wiernie szarym dniom i świętom, radościom i smutom.

Przed wojną pił bo sanacja, we wojnę bo Niemcy — a dziś bo — psiakrew znów kielbasami nie biją. Ale dziś — bogiem a prawdą — piją tylko z nawyku.

Jako wiejski skrzypek mam smutną okazyję grając po weselach i zabawach widzieć jak potop wody zalewa do cna życia chłopskie, ciężąc dławiającym oporem nad każdą uroczystością i obrzędem. Prostu drugą

okupacja. Okupacja nie mniej potworna w skutkach, okupacja nałogu, trucizny — okupacja nagminna, powszechna i powszechnie lubiana.

Dlatego walka z nią jest tak straszliwie samotna: bojownicy zyskują opinię zdecydowanych idiotów, ich hasła wywołują powszechne zdziwienie i zgorszenie, a cała sprawa grzęźnie głęboko w beznadziejności.

Nie pomaga nic. Księża grożą palącą wizją piekielnych mąk, lekarze ślepotą i trumną. Władze grzywnami i więzieniem — niektórzy habinki skrabają lub tłuczkami i wszystko na nic. Naród pije jak pił, a raczej pije stokroć bardziej, zawzięciej — z precyzją. Morduje sam siebie. Z premedytacją. I przysięguje:

Popij bracie popij
zrobi ci się lepi,
ci co nie pijają
i tak mają.

Żadna z osławionych plag egipskich nie była z pewnością groźniejsza i bardziej ponura w konsekwencjach nad tę najbardziej poza narzekaniem upowszechnioną i zdemokratyzowaną klęskę pijaństwa.

Wydaje się, że nie istnieje siła zdolna przynajmniej zahamować, jeśli nie zatrzymać — rozpedzony wehikuł, na którym spity naród zjeżdża na złamany pysk w bezdenną przepaść.

Przedtem by trafił kulą w jedną z płam na księżycu — niż słowem do zachłapanej duszy pijaka. Łatwiej nawrócić Hitlera na demokratyzm, a Himmlera na humanitaryzm — niż pijaka do trzeźwości.

Wprawdzie niejeden ululany w pestkę zanucił sobie:

Bodajcie wódecko pieron trzas, pieron trzas
za moje piniódzki, za mój cas, za mój cas.
Ale to tylko tak dla przekory, w chwili wyjątkowego zamroczenia. Za to gdy podtrzeźwieje, wraca do „formy” i znów śpiewa, ale już to co czuje:

Lubię jo se lubię
dziopski podolecek
ale ponad wszystko
kocham bimbereczek.

A na uwagę, że szkoda pieniędzy, odpowiada bez namysłu:

Pijok pije pijok mo
pijokowi Pon Bóg do.

I co z takim zrobić.

PROGRAM MINIMALISTY

W czasie wojny walka z fabryką bimbru uproszczona była do maksimum. Szło się po prostu ciemną nocą, tłuło urządzenie bimbrów, a właścicielowi tylek — ściągając zeń kilka tysięcy tytułem kontrybucji. Zdemolowany bimber-majster długo potem drżał w posadach na samą myśl o wódecku. Nie był to oczywiście piękny zwyczaj,

miał jednak tę dobrą właściwość, że poma gał. Radykalnie.

No ale były to czasy „totalne”. Dziś w erze demokratycznej „bimbrownie” niestety „wmią sobie beczelnie i bezpiecznie pod bokiem bezpieczeństwa — mimo ostrych zarządzeń, zakazów i dekretów. Robota idzie na całą parę — dniami i nocą. W cuchnącej kałuży bimbru chłapie się z lubością społeczeństwo. Parszywa narodziła, wybujała za okupanta do rozmiarów kataklizmu — wykańcza dziś to, czego tamten wykończyć nie zdążył.

Na oko wydaje się wszystko w porządku, bo to niby i demokracja i organizacje liczące, kultura, oświata i polityka — lecz wszystko to, jak marynata zalane właśnie... bimbrem. A preześci organizacji mających w programie na pierwszym miejscu walkę z pijaństwem — sami ciągną z kotła do flaszki, z flaszki w gardło. Niszcza bimber. Nawet zawzięcie, świecąc przykładem. A straszliwe skutki alkoholizmu i problem walki z nim omawia się też przy kieliszku.

Ta sama historia z częścią funkcjonariuszy Bezpieczeństwa, Milicji i Brygad kontroli skarbowej — a więc organami powołanymi do walki z fabrykacją bimbru. Ludzie ci po pierwsze sami za bardzo lubią wódkę, aby jej „twórcom” robić krzywdę, po drugie zbyt nędźnie są wynagradzani, ażeby pogardzić łapówką, po trzecie poprostu boją się agresywniejszej akcji, gdyż czasy są niepewne, a mściwe kule blakają się jeszcze zbyt często po ludzkich drogach.

Czyli jednym słowem — źle. Im jednak gorzej na tym odcinku, tym, rzecz jasna, silniejsza winna być reakcja wszystkich, którym leży na sercu jaśniejsze jutro wsi i Polski. Nie wolno opuścić rąk. Naprzeciw fali rozwodniającej tężyżnę chłopskiego narodu wystąpić trzeba z solidną tamą zdolną powstrzymać zbrodniczą w skutkach powódź wódy. Trzeba pospołu radzić jakimś sposobami zmniejszyć polską wódkę, odwodnić zabagnione tereny społeczno-chłopskie.

Radźmy więc. Mam wrażenie, że gdyby o samą fabrykację bimbru chodziło, niezłą w skutkach byłaby całkowita obniżka cen wódek monopolowych. Gdy zejść one niżej poziomu opłacalności produkcji bimbru, jego wytwórczość w sensie zbytowym pójnłnie.

Szynkarz i restaurator, który dziś kupuje samogon, mimo wszystko, bo jest tani, z zadowoleniem przejdzie na pewne i lepsze wyroby monopolowe. A samo pijaństwo spadnie do skali dawnej — okazyjno-jarmarczno-odpustowej.

I jeszcze jedno: gdyż znkną najróżnorodniejsze kombinacje bimbrów — wyciągi z kurzenic (!) wapna, karbidu i Bóg wie z czego jeszcze, zdrowie społeczeństwa zyska na tym niezmiernie dużo.

A to najważniejsze.

Józef Bieniek

Nadsyłajcie książki

Kierownik Szkoły Rolniczej w Izbioku na Śląsku Opolskim, przysłał nam następujący list z prośbą o zamieszczenie:

„Niedawno otworła podwoje swe pierwsza polska Szkoła Rolnicza na dawnym terenie plebiscytowym Śląska Opolskiego. Młodzież tujejsza nie wie, kto to Mickiewicz czy Sienkiewicz, nie zna nawet granic Polski — i nie miała polskiej książki w ręku. Szkoła również nie posiada polskich książek.

Młodzież nosi nazwiska czysto polskie, od dziada pradziada Polacy. Sam stąd pochodzę.

Gorąco apeluję do rodaków w tzw. „starej Polsce” — jeżeli mają jakieś zbędne polskie książki, ażeby zechcieli łaskawie (z odpowiednią dedykacją) przysłać je na adres: Szkoła Rolnicza — Izbioku — pow. Strzelce, Śląsk Opolski.

Kierownik Szkoły
Dypl. roln. Kania

Uważamy, że znajdują się tacy spośród czytelników, którzy na apel ob. Kania nie pozostaną obojętni.

List ten przesłaliśmy również do Ministerstwa Oświaty na ręce Naczelnika Akeji Bibliotecznej.

DWA STYPENDIA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ DLA STUDENTÓW UNIWERSYTETU IM. KOPERNIKA W TORUNIU

W trosce o kształcenie się młodzieży wiejską w nowootwartym Uniwersytecie w Toruniu, Wojewódzki Zarząd i Zrzeszenie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej ustanowiły dwa stypendia po 1000 — zł miesięcznie dla niezamożnych studentów pochodzących ze wsi, aby mogli zdobywać wyższe wykształcenie i służyć tworzącą pracą narodowi.

Zgłoszenia kandydatów należy przysyłać na piśmie wraz z życiorysem do Komisji Stypendialnej Samopomocy Chłopskiej przy Wydziale Kultury Wsi, Bydgoszcz, Al. 1-Maja 63.

Sądzimy, że w ślad za Samopomocą Chłopską pójdzie cały szereg instytucji i organizacji społeczno-gospodarczych, okazując odpowiednią pomoc materialną naszej kształcącej się młodzieży na terenie Pomorza.

KSIĄZKI NADESŁANE:

Władysław Jan Grabski: SAGA O JARLU BRONISZU. — I Złotowiny w Upsali, stron 343, wydawnictwo Księgarni Św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

Hanna Malewska: KAMIEŃ WOLAĆ BĘDA. — Wydawnictwo Księgarni Św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

Boy-Zelenicki: ZNASZLI TEN KRAJ? — str. 252, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1945.

Stefan Żeromski: O ŻOŁNIERZU TULACZU. — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1946.

Eugeniusz Kwiatkowski: BUDUJEMY NOWĄ POLSKĘ NAD BAŁTYKIEM. — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1945.

Eugeniusz Garbacz: WIEŚ DUNSKA DAWNIEJ I DZIŚ — str. 200, Biblioteka Studium Spółdzielczego U. J. Kraków 1946.

Janusz Minkiewicz i Jan Brzechwa: SZOPKA POLITYCZNA 1945/46. — Ilustracje Jerzego Zaruby, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1945.

Nr 9 (37) „WSI” ZAWIERAŁ:

Dyzma Gałaj — Szła i jego historyczna prawda; Stanisław Skoneczny — Jakub Szela; Jan Wiktor — Rozmowa o Szeli; Jan Olszowski — Rahacja i powstanie chocholowskie; Franciszek Surówka-Brzegowski — „Dzień on, dzień sądu pańskiego”; Stefan Lichański — Projekt powieści o Szeli; Roman Bratny — Realizm bajkowy; Jan Aleksander Król — Koła młodzieży wiejskiej; Józef Plachta — Parę uwag w sprawie „chłopskiej szkoły” oraz noty i ogłoszenia. — 3 ilustracje, 8 stron.

SPROSTOWANIE

Fotografie do artykułu „Z dziejów pewnego teatru” w Nr 7 (35) „Wsi” zostały zrobione przez Wytwórnice Filmową W. P. a nie przez Irenę Byrską, jak mylnie podano.

Bronić lasów

Nasz czytelnik z powiatu kraśnickiego pisze nam:

„Lasy są bogactwem narodowym — lasy są ozdobą ziemi — lasy są schroniskiem szukających wypoczynku — lasy stanowiły do niedawna ochronę dla żołnierzy Polski Podziemnej. Te lasy niszczy bezzwłocznie ręka złych ludzi, którzy w każdej okoliczności ubijają swój ciasny interes.

Jeden przywiózł furę drzewa, bo surowego jadu nie będzie.

Drugi — bo niedość, że nie ma co jeść, to jeszcze będzie marzł.

Trzeci pojechał i przywiózł, bo widział takie ładne na rozwórę czy byneł.

Czwarty na to wszystko patrzył przez plot, przychodzi do chałupy i powiada kobiecie, że ludzie wożą drzewo. A kobieta na niego: — Ludzie wożą! Ludzie już dawno nawieźli, a tylko ty kręcisz się koło domu bez pożytku!.

Po jednym, po dwóch, po trzech, po dziesięciu — całą wsią wywożą od niedzieli do niedzieli: stali się rebasekami, rebase gajowymi, gajowi leśniczymi. Za pomyślność tranzakcji na grobie świętego drzewa staje butelka bimbru, kromka chleba — wypru-

KOMUNIKAT

Redakcja „Wsi” prosi ob. St. autora felietonu „O węglu” i ob. Mikołaja Witowiaka o podanie adresów.

wiają konsolację. Przy butelce grabarze odnieśli w sobie trwałą miłość jeszcze na jutro i pojutrze.

Na wóz włożyli w kłonicie dwa krótkie kłocze, na wierzach jeden dłuższy — armata prawdziwa. Ze wstydzi przed ludźmi armatę tę zamaskowali zielonymi gałęziami. Bieżyli ponad głowami człowieka zatacza krążek — wio! — jadą.

Kiedy się idzie po wsiach blisko lasu, widząc jak leżą po podwórach młode sosny białe jak ciemna jaltówka obłupiona ze skóry. Drzewo budulcowe jest bezzwłocznie psute — przeznaczone na opał dekoruje ściany aż pod samą strzechę.”

W. N.

Prenumerata „Wsi” wynosi:

zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika”, z zaznaczeniem: na „Wieś”

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięlak Stanisław.

KOMITET TERENOWY: Prasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000, 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 min. na 1 szpalce.

Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wieś” Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D-02707

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirka 2.